



WIDZENIE DĘBOROGA. „REDDE, QUOD DEBES“.

— Czy wiesz?—mówiła ze łzami dziewczyna —  
Nie dobre wieści: mama się gniewa...

Rysunki M. E. Andriollego do „Urodzonego Jana Debora”.

## „LITWA“ SYROKOMLI.

Ta „Litwa”, w nieszerokim zresztą zakresie, którą Kondratowicz oglądał z okien Załucza i Borejkowszczyzny, którą znał, którą kochał nad wszystko—nie istnieje już.

Czyżby w ciągu lat mniej więcej pięćdziesięciu zmienił się do tego stopnia kraj, zmienili się ludzie? Nie; aczkolwiek należy brać w rachubę rozsypanie się pod wielu względami „nowego”, innego niż za czasów Syrokomli, pokolenia po kraju, którego wygląd uległ wielu wyrazistym zmianom. Wraz z całymi milami lasów poznikano wiele, wiele „typów” specyficznie miejscowych; wraz z przejściem w ręce Rosyan lub z rozparcelowaniem całych tysięcy dziesięcin „obywatelskiej”, polskiej ziemi, wraz z nadzwyczajnym uciszeniem się wiejskiego życia towarzyskiego, a z uderzeniem po większych miastach tętna, aby się tak wyrazić, kolejowego, wypłaszającego prowincjonalną zaściankowość z niezliczonymi jej cechami—jużci, że cały *wygląd* stron rodzinnych Syrokomli musiał uleżeć, po części nawet głębokim zmianom. Tak zupełnie, jak „duch czasu”, jak owa cała atmosfera, w której oddychał popularny i wielki poeta.

Nie. Kraj pozostał *mutatis mutandis* ten sam. Wciąż jeszcze „żółtym piaskiem i drobną trawą przytrząśnięty”. Przytrząśnięty przede wszystkim dwoma społecznymi żywiołami, do których najbardziej lgnęła dusza Syrokomli: ludem wiejskim siemieniowym i szlachą zaściankową. I oba te żywioły, oba te stany ani zrzedły ani też się nie zmieniły. Lud pozostał na stopie kultury i obyczajowości — z przed lat; szlachta, siedząca jak ongi po niezliczonych „osadach”, lub we własnych drobnych „folwarkach”, szlachta zagrodowa, zaściankowa, *vel* szarackowa, zachowała swój „typ”, swoje charakterystyczne cechy.

Zupełnie jak drogi między Załuczem a Borejkowszczyzną nie tknięte, w wielu miejscowościach, ręką ludzką od czasów chyba Mendoga.

Gminne ich zdrowie z dawien przywykło  
Karmić się szczawiem i swojską ćwikłą...

I karmi się dotąd. To przedziwnie konserwuje—typ! Natomiast, rzecz prosta, znikł jak kamfora typ „obywatela”, co „bił chłopów pałką, poił gorzałką” etc. Dla tej prostej przyczyny, że chłop już dziś całkiem co innego ćwiczy niż pańszczyzna, a pańskim karczmom kres położył skarbowy monopol.

Gdyby dziś, odwalwszy darninę mogiły swej na Rosję, wstał z grobu Syrokomla, poznałżeby „Litwę swoją świętą”? Niewątpliwie. Chatka wioskowa... kościółek wiejski... lud cichy, parobczaki, dziewczęta, starce siwobrode... dachy słomiane... dworek litewski... Wszystko jest! Jest wszystko, co momentalnie kreślił wzięty do ręki ołówek poety—i jakże prześwietnie kreślić umiał!

...Stare dęby z lewej strony;  
Za dębami bawi oko  
Nadniemeński brzeg zielony...

Czegoby jednak nadaremnie szukał dokoła poeta, to—Litwy. Dokoła, to znaczy tam, gdzie oglądali ją nie tylko on sam, ale i Mickiewicz, Zan, Odyniec, Chodźko i tylu, tylu innych. Syrokomla zmartwychwstały znalazłby się nie na Litwie, ale na Białejrusi, gdzie też światło ujrzał Kondratowicz i przeżył wiek swój — między Załuczem a Borejkowszczyzną—jakby nie zdając sobie sprawy, że gdy z nieznówną i niewyczerpaną tkliwością modlił się:

Ziemio moja rodzona, Litwo moja święta!

to modlił się do—wizyi, co oddawna już ode-rwała się od ziemi; to modlił się do bóstwa nie z tego już świata.

A może rozmyślnie, w imię „idei Jagiellońskiej” trwał przy mirażu Litwy „kresowej”? Nie. Syrokomla był tylko dzieckiem swojego czasu, owej jeszcze epoki, kiedy się *tradycyjnie* pokrywało nazwą „Litwa” wszystkie ziemie byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Jeżeli zaś który z Polaków—a byłoby takich było i bynajmniej nie gorszych!—upierał się przy nazywaniu siebie „Litwinem”, ponieważ pochodzi z granic b. W. Ks. Litewskiego, wówczas tę „zaciętość” zwano—separatyzmem. Separatyzmem od czego? Oczywiście od Korony i bywało, że brano, całkiem seryo, za złe takie... przeniewierzenie się świętej i nietykalnej „idei Jagiellońskiej”.

Kondratowicz tej idei nie propagował i nie apoteozował poezjami swymi, ani też się jej nie przeniewierzał. On *polskością* Litwy, a tem samem „ideą Jagiellońską”, wprost jakby powietrzem — oddychał. Syrokomla jest nadto typowym okazem skonfederowania się z sobą: polskości z litewskością. Typowszym, niżli Mickiewicz, też z pochodzenia nie Litwin, ale Białorus!

Nie słysząc dokoła siebie prawie że dźwięku mowy litewskiej (między Mińskiem a Wilnem gdzieśkolwiek tylko można natknąć się na wioskę litewską lub mały archipelag dwóch, trzech litewskich wiosek), obcując ciągle z jednolitym ludem białoruskim, gęsto przetkanym obywatelstwem polskim lub polską (i jakże jeszcze polską!) szlachtą zagrodową, wyobrażał jednak sobie wciąż Syrokomla, że mieszka—pod Palemońskim lasem.

My mieszkamy pod starym Palemońskim lasem!



Smolhów. Miejsce urodzenia Syrokomli.



Zaluze. Dworek Syrokomli, według własnego szkicu poety. Rys. F. Brzozowski.

I—przeszłość specyficznie litewską, z całą jej mitologią, z całym legendowym bohaterstwem, z całą Olgierdową świetnością poczytywał za najwyższy splendor swej — ojczyzny. Jakże tę litewską zamierchłość kochał! Jakże dumny był z Mendogów, Kiejstutów, Witoldów!... O Krakusie, Wandzie, o Piaście ani wspomni! Tysiąc razy można przyłapać Syrokomlę na uczuciu dla litewskich, rdzennie i wyłącznie litewskich dziejów, dla litewskiej z przed wieków, a jakże krótkiej! świetności państwowej, na uczuciu kto wie czy nie prześcigającym w gorącości swojej uczucia dzisiejszych najzapaleńszych szowinistów litewskich, nie wyłączając samego d-ra Basanowicza.

Gdy Teodor Narbutt ogłosił drukiem swoje „Dzieje Litwy”, Syrokomla witał entuzjastycznie ten dar przedni i ofiarodawcę. „Nam—pisał—wyświecił Narbutt przeszłość naszą”.

Syrokomla wyniósł całą swoją znajomość przeszłości Polski i Litwy — ze szkoły Lelewela. Pod wszystką ziemią całego b. W. Księstwa Litewskiego *czuł* prochy mogilne—polskie; nad całą tą ziemią wszystkie słowiki i skowronki śpiewały mu — po polsku, a jednak czyliż znajdziemy we „Wrażeniach pielgrzyma” choćby jeden akcent *serdeczny*, co by się wyrwał Syrokomli z duszy na widok Warszawy, Poznania... jeden z tych przedziwnych akcentów, którymi aż drgają, zda się, litery w opisach Litwy i w istnych z nią jakby kochańkowych gruchaniach!

Wiem, jak tam (t. j. na Litwie) żyją  
w gospodzie i chacie,  
Jak się zbierają na żniwa gromadnie;  
Tameczne łąki znam po aromacie,  
Wodę tameczną po smaku odgadnę;  
Inszego ptactwa śpiew mi nie omami,  
Znam, jak skowronek, jak tam słowik śpiewa,  
Poznam po szumie nadniemeńskie drzewa...

Dodajmy jeszcze, że ruska przeszłość W. Ks. Litewskiego, to jest kraju, co go Syrokomla ojczyzną zwał swoją, nie przemawiała bynajmniej ani do serca, ani do wyobraźni poety. Białorusin z pochodzenia, jakby unikał przypomnienia ludzi i sobie, że państwo Giedymina i Olgierda było państwem litewsko-ruskim, nie zaś wyłącznie litewskim.

I owóż dojdziemy do określenia, że umiłowaną nad wszystko ojczyzną Syrokomli, jego „Litwą” świętą i rodzoną, było historyczne Wielkie Księstwo Litewskie, a nie z innej epoki, jeno z czasów *po* unii z Polską, zachowujące swoje odrębności obyczajowe oraz kult dla litewskiej, wyłącz-

nie litewskiej, świetnej przeszłości swojej. Idealnym zaś politycznym, przyświecającym tej ojczyźnie, nie było atoli bynajmniej w rozumieniu Syrokomli: odrodzenie tej kulturalno-państwowej hegemonii litewskiej na całej historycznej przestrzeni kraju. O nie! Ojczyzna poety miała pozostać nadal i na wieki wieczne krajem polskim o przeszłości tylko litewskiej. Taką sobie ojczyznę skonstruował „lirnik wioskowy”, taką malował, taką wysławiał i bezgranicznie kochał.

A zbliżał się już nowy lat dziesiątek, co miał między 1860 a 1870 rokiem położyć kres tak poetyckiej a nierealnej koncepcji „Litwy” Syrokomli—a czy tylko Syrokomli?

Przyszło pozbawienie ziemiaństwa polskiego pańszczyzny; przyszło niejako uobywatelnienie etnograficznego, społecznego podłoża kraju; przyszło wtargnięcie do b. Wielkiego Księstwa Litewskiego trzeciej insurekcji polskiej; przyszło gwałtowne kruszenie żywiołu polskiego w kraju, zwężanie wszelkiego jego stanu posiadania; przyszło z jednej strony rusyfikowanie go, a z dru-

giej budzenie się litewskiego t. zw. „uświadomienia narodowego”. Pod naporem wszystkich tych wydarzeń i prądów zmieniła się, prawie do niepoznania, i fizjonomia kraju i jego istota duchowa.

Przejechawszy dziś — a pośpiesznie—wszecz i wzdłuż b. Litwę Syrokomli, możnaby jeszcze, sądząc z wyglądu tyłu jej zapadłych kątów, powtórzyć to, co sam Syrokomla pisał o Polesiu:

Tu zasłonięni lasem i oblan woda,  
Z pokoleń w pokolenia ludzie wiek swój wiodą;  
Żaden nowy obyczaj, żaden wymysł świeży  
Nie przemienił ich mowy, ni kształtów odzieży...  
Tak samo ich posila miód, jagła i ryba.  
Nic tutaj nie przybyło—trochę nędzy chyba.

Ale ani nastroju, ani tradycji, ani tętna Syrokomliowskiej „Litwy” już niemasz. Cała koncepcja „Litwy” Syrokomliowskiej rozwiła się, zczeszła. Pozostała tam, w księgach poety... Tam da się odtworzyć, zrekonstruować z pietyzmem należnym wszelkim zgola relikwiom.

Ale tam już tylko: pod owym kurzem bibliotecznym, co w ciągu lat przeszło pięćdziesięciu osiadł na pieśniach Syrokomli, budzących dziś w nas o wiele głębsze uczucia, niż budziły we współczesnym pocię pokoleniu.

Zaś tam, między Mińskiem a Brześciem, między Telszami a Mohylowem leży kraj... nawet nie zowiący się już żadną „Litwą”, jeno Litwą i Białorusią. Kraj to brany gwałtownie a żywiołowo od północnego-zachodu w posiadanie etnograficzne przez Litwinów, przez naród, uścielający dla siebie ekskluzywną ojczyznę; a od wschodu i południa brany powoli i nieznacznie w etnograficzno-ojczyźniane posiadanie przez Białorusinów. Zaś wpośrodku tej ogromnej dzielnicy, w stołecznym ongi Wilnie, na rubieży między dwoma narodami, litewskim i białoruskim, zalewającymi tę dzielnicę, wbito pal państwowości rosyjskiej w postaci Semiramidy Północy z napisem u jej stóp: *Ottorżennyja wozwratich*. I tak, poruszona do warstw najgłębszych, zorana, jak dyrwan odwieczny, a raczej jak poletek pra-pradziadowskiej gospodarki, obsiewana miejscami ziarnem najniebywalszych eksperymentów, to znowuż miejscami dewastowana pod pozorem oczyszczania miejsca dla gabinetowych reform—leży, napół senna jeszcze, napół gorączkowemi widziadłami targana, i wyczekuje nowych losów swoich była „Litwa” Syrokomli.

Nie unosi się nad nią żadna, z serc ludzkich poczęta, pieśń poety. Tylko z ziemi ku niebu płynie, co wiosna, przelotne granie skowronkowe, a co jesień, klucz zórawi tęskno zawodzi.

Jak za dawnych lat...

CZESŁAW JANKOWSKI.

*Wino ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drzewa,  
Ludzie krami mię poją!  
Tyś dla mnie ulga, Wino, a gdy mię w grób potopię,  
Ty będziesz chluba, moja.  
Ej wrogości, wrogości, twoje echo wrośnię!  
Bołbrzymię, me słowa;  
Pojdą, z kraju do kraju, do samego Dunaju,  
Do samego Rjowa.  
Wtedy w okno sąsiada cudnych ludzi gromada,  
Ciekawie kłopotata  
„Przygłosimy patrzeć drzewa, gdzie wasz lirnik spoczywa  
„Lirnik głośny u świata.”  
Wtedy z całego siola ciekawość lud wynota,  
I będą, cynić wnioski  
„Szeptać seiskając plecy: „Kąd ci ludzie dalecy  
„Znają, przedni tej wiosni?”  
Wiosce chluba wasta; młodzi, drzewce, niewasta.  
Przed ludzmi z cudzej ziemi  
Wstępniciem i gawędą lirnika sławic będą,  
Co śpiewał i żył z niemi.  
I powioda, przybywszy do cmentarnej racizy,  
Gdzie przy sośnie kraj kryje;  
I ręką wznosząc głowę: „Tu nasz lirnik wiosenny!  
„Skonał grając na lirze*

*Włodzisław Syrokomla*

9. 18. stycznia 1852.

Autograf „Lirnika wioskowego”. Ze zbiorów Wł. Korotyńskiego.

## POEZYE

### Władysława Syrokomli.

Z przygotowanego do druku zbioru utworów poety, nieobjętych wydaniem z r. 1872).

□□

#### Pielgrzym — pielgrzymowi.

(W imionniku Władysława Kucewicza).

I tyś zwiedził tamte strony,  
Gdzie ja byłem w dobry czas;  
I tyś wrócił zachwycony —  
Więc wspomnienie łączy nas.

Z rzek tych samych piłeś wodę,  
A powietrze z tychże gór,  
I poznałeś dusze młode,  
Piersi krzepkie, gdyby mur.

W Wielkopolsce mgłę jesieni  
Tyś w równinach widział sam,  
Ale w sercach się zieleni...  
Wierzą w wiosnę, wierzą tam!

Ciężkie chmury nad Wawelem  
Przytłaczają wieże snąć,  
Lecz zmieniłeś ból weselem,  
Gdy dzwon Zygmunt zaczął grać.

Och! Tak samo było ze mną,  
Gdym przebiegał strony te:  
Zrazu tęskno... w oczach ciemno...  
Potem promień błysnął w łzę.

Łza, promieniem oświetlona,  
W innych barwach dała świat:  
Na zwaliskach pleśń zielona  
W czarodziejski przeszła kwiat.

Wzniosłem serce aż do Boga,  
Wyteżyłem oczy w dal:  
Aż i Litwa moja droga  
Z za niemnowych iskrzy fall...

Tak się oczy rozigrały,  
Rozwidniły, Bóg wie skąd,  
Że widziałem, w tęczach cały,  
Wileńskiego zamku szcząt...

Wilno, marzec 1860 r.

#### J A N E K.

(Urywki).

Prędzej wstecz się cofnie rzeka,  
A kaliną będzie grusza,  
Nim ja wyjdę na człowieka,  
Co nie kocha moja dusza!

Pierwej w locie rybka wodna  
Ptasie skrzydła porożtacza,  
Niżbym miała ja, niegodna,  
Wyjść za starca, za bogacza!

Prędzej zmiękną w воск kamienie,  
Śnieg się zmieni w czarną sadzę,  
Niż ja słowo moje zmienię,  
Niż mojego Janka zdradzę!...

Jednostajnie rzeka płynie,  
Z dawnych łożysk się nie rusza...  
Krasny owoc na kalinie...  
Białym kwiatem kwitnie grusza...

Gdzie ta wierność? gdzie te śluby?  
Chyba w moim śnie.  
Mój jedyny, och! mój luby  
Już zapomniał mnie.

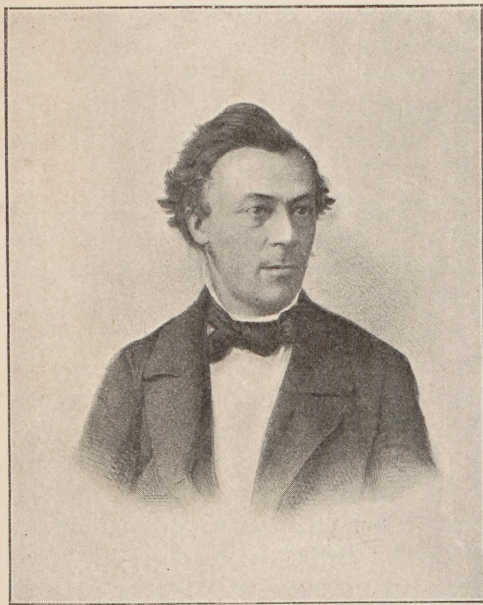
Nie zapomniał! On nie zdradzi...  
Widzę z okna pył —  
Ktoś na koniu bystro sady...  
Któżby inny był?



WŁ. SYROKOMLA. Według fotografii Bajera z r. 1853

Jedzie do mnie? czy nie do mnie?  
Aż mi serce drży...  
Jasiek leci bezprzymotnie  
Do sąsiedniej wsi.

Nie! Nasz mostek wątył trocha —  
On chciał minąć rów.  
On tu jedzie, on mnie kocha,  
Ja go ujrę znów!



WŁ. SYROKOMLA. Według litografii Fajansa z roku 1858.

Ja się spojrzeć nie ośmielę...  
Smutny Jasiek mój...  
Mnie w niedzielę, przy kościele,  
Ściągał chłopców rój...

Cóż ja winna, że mi pięknie,  
Gdy się w kwiatach lśnię?  
Widzę uśmiech!... Serce pęknie:  
On przebaczył mnie!

Nie przebaczył!... Z konia zsiada,  
Wiąże go u drzew,

A twarz jego smutna, blada,  
Znaczno żal i gniew...

Drzwi skrzypane... Sad pomija...  
Jasna jego twarz...  
Jaśku! Jaśku! Jam niczyja,  
Ty mię wiecznie masz!...

Wilno, około 1855 r.

#### Posucha i kropla rosy.

Czasem dni się przewleką,  
Że się zdaje: świat kona;  
Rozpaczliwsze daleko,  
Niżli rozpacz szalona.

Śmiać się, płakać naturze  
Nadaremna fatyga;  
Nawet w górze, na chmurze  
Łza, choć wisi, zastyga.

Po niedawnej ulewie  
Deszcz pocieszną ma postać!  
Ot, zdaje się, sam nie wie,  
Czy ma padać, czy zostać.

Na zielonym przekosie  
Konik polny się wiesza,  
Miał strzekać po rosie,  
Ale drzemnąć pośpiesza!

W kolej trzecią i czwartą  
Miał wyskoczyć sprężyscie,  
Lecz pomyślał: Nie warto!  
Ot, i skrył się pod liście.

Słońce ziewa nad wodą,  
Ryba pluskać się leni,  
Kwiat zajęty pogodą  
Przeszłorocznej jesieni...

Nic nam piersi nie miota,  
Nic do życia nie wzruszy,  
Taka straszna głuchota  
I na ziemi, i w duszy!

Wiary trzeba nam, wiary!  
Czynu trzeba i woli!  
One wskrzeszą wiek stary,  
Ułagodzą, co boli.

Czoło myślą schmurzone,  
Ręka znojem oblana  
Niech stanowią obronę  
I modlitwę do Pana.

Gdy z rolnikiem na niwie,  
Z dziatwą gwarzym w komorze,  
Nędzę przyjmie ucziwie,—  
Duch być martwym nie może.

Podrętwieje, pokwili,  
Już umarłym się zdawa,  
Lecz po chwili, po chwili,  
Życie weźmie swe prawa!

Praca siły nam doda,  
Pomęźnijem nieznacznie,—  
Wtedy martwa przyroda,  
Patrząc na nas—żyć zacznie.

Wyświetleje noc głucha,  
Wskrześnie ptaszek i kwiatek...  
Milo w siebie lać ducha,  
Gdy go w piersi dostatek.

Wilno, 1862 r.

## Ruch białoruski.

I.

Spółeczeństwo polskie coraz częściej zmuszone jest z uwagą spoglądać na to, co się dzieje na t. zw. kresach. Stosunki zmieniają się tam bowiem z błyskawiczną, rzekłbym, szybkością. Gdy do niedawna jeszcze była tam tylko „sprawa polska”, polegająca na walce z naporem rosyjskości—obecnie namnożyło się „spraw” różnych nie-mało. Jest więc „sprawa litewska”, białoruska i ukraińska na Rusi, a wszystkie wielkie, zawile i ważne, bowiem z niemi stokroć bardziej, niż z urzędową rusyfikacją przymusową, polskość u wschodniej ściany dawnej Rzeczypospolitej rachować się dziś musi. Na to zaś, by się z niemi umiejętnie rachować—trzeba przedewszystkiem znajomości tych zmienionych warunków, w których egzystować, z którymi godzić się trzeba.

Ruch litewski znamy już dość dobrze. Jest on najwyraźniejszy, najłatwiej da się ująć w konkretne dążenia i formy, jest też najbardziej zaangażowany—przeto do zbadania najmniej przedstawia trudności. Wprawdzie i ten ruch oświeclany bywa po większej części stronnico, zagadek bądź co bądź już nie przedstawia — najwyżej punkty sporne. Inaczej rzecz się ma z budzeniem się młodego ludu białoruskiego i z dźwiganiem się do własnego życia Ukrainy. Te dwa procesy mają w nas świadków niezmiernie zainteresowanych w ich przebiegu i skutku, ale niedość rzeczy świadomych. By lukę w tym względzie istniejącą zapłacić, by ilość nowych wiadomości o tem, co dzieje się „na kresach”, zwiększyć — chcę mówić dzisiaj o „ruchu białoruskim”.

Przedewszystkiem skąd się wziął i jakie obejmuje przestrzenie?... Na pytanie to odpowie nam najwiarogodniejszy ze znanych mi działaczy białoruskich. „Poczucie narodowości i godności narodowej wśród Białorusinów—pisze on w „Kraju” w r. 1909—powstaje wraz z obudzeniem świadomości obywatela. Gdy nastąpił okres walki wolnościowej w państwie rosyjskiem, Białorusin zaczyna się głęboko zastanawiać nad swoim bytem materialnym, swoim położeniem wśród ludów Rosyi; znajduje, że jest ekonomicznie i politycznie upośledzony, jest wykluczony z wielkiej rodziny ludów kulturalnych, i aby wejść do niej, woła głośno: „I jam człowiek!” Gdy Rosyę ogarnęła sieć związków i stowarzyszeń, gdy wolne słowo zaczęło rozbrzmiewać na wszystkich placach miejskich—Białorusin też szedł tłumnie posłuchać, co robią i mówią w mieście, wróciwszy zaś do swej chaty, naradzał się i naradę przenosił do gminy. Żale swe wylewał w formie „nakazów” dla posłów i uchwał gminnych. Ulegając hasłu: „siła w zespoleniu”, tworzy „Białoruski związek włościański” oraz „Związek białoruskich nauczycieli ludowych”, a w programach, obok żądań ekonomicznych, stawia postulaty polityczne i narodowe... Ruch wolnościowy wzrasta — odezwa polska lub rosyjska zamienia się na białoruską, szerzy się w dziesiątkach tysięcy i jest chciwie rozchwytywana. Na wiecach i zgromadzeniach słychać język białoruski, zdobywający sobie prawo „naszej mowy”... Poszanowanie mowy własnej odradza się w masach ludu białoruskiego, zdobywa prawa obywatelstwa. Wszystkie żądania polityczne cechuje pragnienie nauczania w mowie ojczystej; potęgę odrodzenia swego Białorusin widzi w szkole”.

O ujęcie bardziej obrazowe tego wybuchu odrodzenia trudno. Mamy przed sobą zjawisko, jak widzimy, niesłychanie ciekawe: przerodzenie się ruchu rewolucyjno-społecznego w ruch narodowy. I transformacja ta dokonywała się niezależnie prawie od woli jej inicjatorów. Agitator socjalistyczny szedł „w lud” budzić nienawiść do

pana i protest przeciwko ustrojowi państwowemu—to pośród biernych i niesłuchających dobrych z natury mas tego cichego rolniczego ludu nie udało mu się wcale, mimowoli natomiast dokonał innego cudu, a właściwie ułatwił możliwość jego dokonania się w następstwie. Siła nienawiści do innych, a weszła z niej miłość bardziej świadoma do swoich. O jakże rzadko przemienia się tak w pocziwej glebie zły siew!

Ruch białoruski—ten pierwszy żywiołowy—objawił się na przestrzeniach niemałych. Boć plemię białoruskie liczne jest i szeroko osiadłe. Prof. Karskij oblicza ogólną ilość Białorusinów na 8 milionów. Według oddzielnych gubernii jest ich: w gub. wileńskiej 1.076.435, w grodzieńskiej—861.640, w witebskiej—976.638, w mińskiej (nie licząc pińszczyzny, gdzie lud mówi na pół po małopolsku)—1.755.069, w mohylowskiej 1.650.069, w smoleńskiej (oprócz Wielkorusów)—947.826...



Jan Łuczkiewicz (Janka Kupała).

Prócz tych gubernii, gdzie stanowią Białorusini żywioł tak pokaźny, w mniejszych ilościach spotykamy ich w powiecie jeziorowskim gub. kowieńskiej, w powiecie iłuckim gub. kurlandzkiej, wreszcie w kilku powiatach gub. czer-

nichowskiej, w których prof. Karskij liczy aż 700.000 Białorusinów. Było ich też według jego rachuby z roku 1888 w Królestwie Polskiem w powiecie augustowskim—około 22 tysięcy. Pod względem religijnym masa białoruska dzieli się na katolicką i na prawosławną w stosunku mniej więcej 1 : 3. Białorusini-katolicy zamieszkują przeważnie w gub. wileńskiej, grodzieńskiej i mińskiej, aczkolwiek i tu są całe pasy osad prawosławnych. Szczegół ten podkreślam w tem miejscu mimochodem, powrócimy doń jednak, bo ma on w układzie stosunków politycznych i kulturalnych na Białejrusi pierwszorzędne znaczenie. Owa dwoistość religijna czyni Białorusi właśnie jakby terytorium spornem, niesłusznie zresztą za takie uważanem zarówno przez Rosyan rusyfikatorów, jak i pewne, nieliczne zresztą, sfery polskie...

Ferment rewolucyjny dotknął całego prawie zamieszkanego przez Białorusinów obszaru—wszędzie też obudził wśród wieki całe biernych mas jakgdyby jakieś nowe życie, zelektryzował je, wytrącił z odrętwienia. Białoruska literatura rewolucyjna rozlewa się szeroko, w r. 1906 pod koniec okresu największego wrzenia ukazuje się jako symptomat zrodzonej świadomości narodowej i jej nowych potrzeb—peryodyczna prasa białoruska. Wychodzi pierwszy numer gazety „Nasza dola”, poświęconej „sprawom biedoty miejskiej i wiejskiej”. Pismo to pełne jeszcze jaskrawych „wolnościowych” hasel, ale egzystencję jego przerywają wnet... konfiskaty. Charakterystyczną jest rzeczą, że nawet w owych najostrzejszych momentach ruch białoruski ludowy nie odznaczał się tą zaciekłością, jaka cechowała w podobnych chwilach Litwinów lub Łotyszów. Nie był to ruch ekskluzywny, przesiąknięty bezwzględny egoizmem narodowym obok egoizmu klasowego, liczył się on zawsze ze specjalnymi warunkami sytuacji etnograficznej, rzekłbym, miał niejasne przeczucia tego, co później nazwano „krajowością”. Tak więc kierująca początkowo ruchem politycznym na Białejrusi „Biełoruska socyalistyczna Hromada”

w programie swoim obok postulatów czysto białoruskich zamieszcza żądanie autonomii kulturalno-narodowościowej dla każdego z narodów, zamieszkujących na tej samej ziemi, oraz zupełnego ich równouprawnienia. Podobne stanowisko zajmuje „Białoruski związek włościański”. Pod wpływem tych organizacyj też same żądania stawiają więc włościanie i w „nakazach”, wysyłanych do posłów I-ej Dumy. Szowinizmu narodowego nie ma w nich ani śladu. Szczycą się tem, i słusznie, pierwsi budzącego się narodu społecznymi nauczyciele.

Ten charakter spokojny, pozbawiony zupełnie ostrej agresywności politycznej, zachował ruch białoruski i w następstwie, gdy przestał już być absolutnie rewolucyjnym, a zamienił się wyłącznie w oświatowo-ekonomiczno-kulturalny. Takim też jest obecnie. Do prowodyrów białoruskich mają niektórzy żal, że oglądają się wstecz, że śni im się rewindykowanie „historycznego stanu posiadania”, że wciąż przypominają czasy, gdy język białoruski panował na całej Rusi zachodniej i był językiem urzędowym Wielkiego Księstwa Litewskiego tak dalece, że w tym języku wydany był przecie Statut Kazimierza Jagiellończyka, Statut Litewski, Trybunał W. Ks. Litewskiego i cały szereg innych tego rodzaju pomnikowych rzeczy... Czyż to zwracanie oczów mimowolne ku minionej swej ojczystej chwale brać można za złe? Jakiż naród nie szuka w pięknych chwilach przeszłości sił do pokrzepienia serc, do podtrzymania swych ambicji i duchowych dążeń. W tem niema nic dziwnego. Dziwnem-by było, gdyby Białorusini, jak to czynią w swym fanatyzmie Litwini, na przykład, narzucać chcieli narodowość swą tym, którzy od wieków z inną żyli się kulturą. Białorusini tego jednak nie czynią, poprzestając na uświadamianiu masy ludowej do niedawna amorficznej, mówiącej zawsze jednak rodowitym tylko językiem. Ta masa ośmiomilionowa, w swych wszechstronnych cechach najzupełniej odrębna, materyała na samoistny naród zdaje się przedstawiać bezsprzecznie. Nad urobieniem materyału tego trudzą się młodzi patrioci białoruscy, pragnący tchnąć weń poczucie swej jednolitości i własnych plemiennych i społecznych celów.

Obecnie, jak już rzekłem, cała propaganda narodowa białoruska redukuje się głównie do działalności kulturalnej. W Wilnie, w Mińsku, w Petersburgu powstają towarzystwa, wydające elementarze białoruskie, książeczki popularno-naukowe, zbiorki utworów poetyckich. Szczególniej dużo tych ostatnich. Lud białoruski to lud rozkochany w pieśni. Nic więc dziwnego, że przede wszystkim wydaje od pierwszego westchnienia swej wyzwalającej się duszy — poetów, jak Janko Kupała, Jakób Kołas i inni. Na czele odrodzenia białoruskiego stoi pismo tygodniowe „Nasza Niwa”, wychodzące w Wilnie i stanowiące kulturalną centralę całej tej wielostronnej pracy. Pozostaje ono w najściślejszych stosunkach z wsią, z bardziej świadomymi już gospodarzami, z nauczycielstwem ludowym, z drobnomieszczanstwem mińskim, słuckim, kopylskim, witebskim i t. d. „Nasza Niwa” i wydawany przez nią od lat paru kalendarz są literalnie pod każdą białoruską strzechą, gdzie wstąpił choćby promyk światła i rozpoczęło się przejrzenie. Wypierają one świstki rosyjskie, propagowane przez „ziemskich naczelników”. Dla tendencji tego pierwszego na większą skalę wydawnictwa białoruskiego niesłuchanie znamienne są poglądy, wyłożone zaraz w № 9-ym owej gazety ludowej i będące poniekąd sztandarem polityczno-społecznym jej kierowników. Poglądy te dla scharakteryzowania istoty ruchu białoruskiego pozwolę sobie, jako niezmiernie ciekawe, przytoczyć w całości.

W. B.

ARTUR OPPMAN (OR-OT):

## DO LITWY.

LITWO! NIE JESTEŚ TY JUŻ DAWNĄ LITWĄ!...  
I ANIOŁ UNII, ZASŁONIWSZY LICE,  
NA ZRYSOWANE POGLĄDA ŚWIĄTNICE,  
GDZIE NIEGDYŚ GÓRNA DWU NARODÓW DUSZA  
JEDNĄ DO CZYNU RWAŁA SIĘ MODLITWĄ...

LITWO! TWA CICHA, TWA SŁOMIANA STRZECHA  
ZAWARŁA WROTA, JAK SERCE CZŁOWIEKA,  
I RÓG WOJSKIEGO JUŻ NIE BUDZI ECHA...  
I CAŁA PRZESZŁOŚĆ, JAKO SEN UCIEKA...  
PRASTARA LITWO PANA TADEUSZA!...

LITWO! JAGIEŁŁÓW ZBROJNY MAŻ NA ZNAKU,  
OD PIASTOWEGO ODLATUJĄC PTAKA,  
GNIEWNĄ OSTROGĄ KRWAWI BOK RUMAKA  
I PRZEZ ZŁĄCZONE W ŚMIERCI DZIADÓW KOŚCI  
GONI KU OBCYM Z ŚWIĘTYCH MOGIŁ SZLAKU!...

LITWO! GDZIE TWOI ŚPIEWACY MIŁOŚCI?!...  
OTO OFIARNA CZARA, JAK GRÓB PUSTA,  
I NIENAWIŚCIĄ DYSZĄ BRATNIE USTA...  
A TAM—Z OGROMNEJ WIEKÓW DALEKOŚCI—  
IDZIE DUCH SMUTNY ZYGMUNTA AUGUSTA...

PRZEZ BITEW POŁA, PRZEZ DOLINY PŁACZU,  
PRZEZ MROK POTĘPIEŃ I PRZEZ CHWAŁY ŻORZĘ  
IDZIESZ Z MOGIŁY, O KRÓLU TUŁACZU!  
SZUKAĆ SWYCH LUDÓW BIJĄCEGO SERCA,  
CO, JAK DZWON, GRZMIAŁO NA ŁĄDY I MORZE...

ŚPIĄ CICHO W GROBACH ŻAŁOSNE REYTANY  
I ŚPIEWAK LITWY ŚPI Z KRÓLAMI RAZEM,  
NA CICHEJ ROSSIE, POD OMSZONYM GŁAZEM,  
LIRNIK WIOSKOWY ROZKWIŁ W DARŃ  
KOBIERCA,  
A SERCE ŻYWYCH, JAKO DZWON—STRZASKANY!...

LITWO! PIEŚŃ TWOJA, TA ARKA PRZYMIERZA,  
ZRODZONA W ŚWIĘTE PROMIENISTYCH LATA,  
DZIŚ W PIERŚ LITEWSKĄ, JAK W KAMIEN, UDERZA  
I W SERCU BRATA—NIE ZNAJDUJE BRATA!...  
PIEŚŃ, JAK BŁYSK MIECZA I JAK SZEPT PACIERZA...

OD BAZYLIANÓW JESZCZE ECHA DZWONIA  
I W OSTREJ BRAMIE TWARZ TA SAMA ŚWIECI,  
Z ULICZEK WILNA, Z GWIAZDAMI NAD SKRONIĄ,  
DŁUGIM POCHODEM SUNĄ FILARECI...  
DZIADY BEZ WNUKÓW... OJCOWIE BEZ DZIECI...

WIDM NIE PUSZCZAJĄC, CO STOJĄ ZA PROGIEM,  
Z SIÓŁ TWYCH I GRODÓW, Z POWIETRZA I Z ZIEMI,  
WIDM UMĘCZONYCH DROGI DALEKIEMI,—  
LITWO! TYŚ SAMA WIĘKSZYM SOBIE WROGIEM,  
NIŻLI BYŁ NIEGDYŚ TAMTEN WRÓG KRZYŻOWY!

JEŻELI KIEDY SIWY CHŁOP LITEWSKI  
NAD WYORANYM RDZAWYM MIECZEM STANIE,  
MOŻE SIĘ TOBIE PRZYŚNI SEN KRÓLEWSKI  
I, ZADUMANEJ POCHYLAJĄC GŁOWY,  
DAWNĄ PURPURĘ OBACZYSZ—W ŁACHMANIE!...

WSPOMNIJ! LECZ CHOĆBYŚ ZAPOMNIAŁA O TEM!—  
MY—NA WAWELSKIE KONRADOWE LOCHY!  
NA GRUNWAŁD, GRZMIĄCY SKROŚ WIEKI  
Z ŻOSKOTEM!  
NA BEZMOGIŁNE JASIŃSKIEGO PROCHY!—  
MIŁOŚĆ NIEZŁOMNĄ ŚLUBUJEM Z POWROTEM!...

I CZYLI RAZEM, CZY DUCHOWĄ BITWĄ  
W JESZCZE CHMURNIEJSZE POGRAŻENI CIENIE,—  
NIE PRZESTANIEMY I NA JEDNO MGNIEŃ  
BRATERSKĄ CIEBIE POZDRAWIAĆ MODLITWĄ:  
BŁOGOSŁAWIONA BĄDŹ, O, SIOSTRO!... LITWO!...

ALFRED RÖMER:

## Wspomnienia z r. 1864 – 1865.

Odwiedził mnie ojciec wkrótce po powzięciu wiadomości o konfirmacji Murawiewa. Smutny, złamany i zmieniony bardzo, powiedział mi, że pomimo to postanowił wszelkich środków użyć, by mnie od wygnania z kraju uwolnić. Rozpoczęła się więc istna kampania ze wszystkich stron przeciw temu dekretoowi. W tymże samym miesiącu marcu, w tym celu przeszedłem do szpitala, w nadziei, że mi się uda przedłużyć tym sposobem chwilę wyjazdu.

W parę dni po przybyciu ujrzałem wchodzącego do naszej sali głównego doktora, który był w randze generała i nazywał się, jeśli się nie mylę, Boguszewskij. Na samym wstępie, kilku stojących przy swych łózkach kazał ze szpitala wypisać, jako skazanych na wygnanie, niepotrzebnie tu siedzących.

— Żle—myślę sobie — ciężka będzie sprawa z p. doktorem, bo i ja byłem w takiejże kategorii. Z kolei podszedł do mnie. Postąpiłem więc rezolutnie parę kroków ku niemu i rzekłem po francusku (w owym jeszcze czasie francuszczyzna imponowała pewnej klasie urzędników):

— Panie generale, nie potrzebuję pana oszukiwać — jestem zdrów, lecz ponieważ mam jechać na wygnanie, proszę o pewien czas wypoczynku tutaj, za co panu będę wdzięczny.

Odpowiedział, że lubi otwartość, mruknął coś niedosłyszalnego pod nosem i odszedł, lecz na twarzy generalskiej zabłysnął jakiś wyraz, dający mi pewną otuchę, że turbowany przez niego nie będę.

W szpitalu chorzy byli uważani za zdrowych, a zdrowi za chorych — jak się komu udało, lecz byli też i waryaci, których więziono, indagowano i sądzono.

Był tam taki Jan — żałuję, że nie zachował w pamięci jego nazwiska. Miał on wyższe wykształcenie, niegdyś był uczniem uniwersytetu w Petersburgu. Mówił dużo zawsze w stanie podnieconym; lubił mnie i często się do mnie zbliżał. Powiadał, że gdy się ukazywał w Olimpie, wszyscy bogowie i boginie byli uszczęśliwieni i wykrzykiwali: „Jak się masz, Jasiu, gromoboju!”...

Raz generał Krzyżanowski, wizytujący szpital, wszedł do naszej celi i zatrzymał się przed młodym powstańcem, leżącym na łóżku z roztrzaskaną łopatką od kuli sztucerowej. „Co mu jest?—zapytał. — Jaka choroba?” — „Ranny”. — „Szkoda, że nie zabity”. — A p. Jan był blisko i słowa generała posłyszał. Podskakuje do niego i powiada: „Generale, możesz go zaraz zabić, masz szablę u boku, a on ręką machnąć nie może. Żaden też z nas broni nie ma”. Wogóle był wspaniały bardzo, a w swych majaczeniach obrazowy i interesujący.

Kiedy tak siedzę w szpitalu i nad swym

losem wygnańczym rozmyślam, zdarza się wypadek, który mi daje pewne wskazówki, że się może z tej biedy na swobodę wyskrobieć. Michał Podbereski, mój brat cioteczny, mieszkający w Wilnie, znający tam dużo urzędników, przez których niejednemu mógł pomódz, wybrał się do mnie w odwiedziny. Na stacyi kol. żel. w Wilnie spotkał urzędnika do osobnych poleceń przy Murawiewie, od którego w krótkiej rozmowie dowiedział się, że mają razem tę samą drogę do Dyneburga odbywać, zaprosił go więc na przekąskę z szampanem, napoił, wzamian otrzymał od urzędnika propozycję wspólnego mieszkania.

Nazajutrz w Dyneburgu między wielu, którzy się u p. urzędnika przedstawiali, był i główny doktor szpitala, z którym się Michał zapoznał. Na herbatę pod wieczór przybiegł do mnie, gdzie go bez trudności wpuszczono. Capstrzyk o dziewiątej godzinie był hasłem zamykania fortecy. Zatrzymałem Michała dla przekonania się o powolności dla niego, a wychodzące

Nowe i inne życie się rozpoczęło. Czułem, że mi pęta zwolniały i forteca ciasną się wydawała, okiem i myślą wylatywałem za mury i wały, nasrożone armatami.

Któregoś dnia Abramowski namawia mnie uparcie do spaceru i zmusza, bym się nieco staranniej przystroił. Nic mi nie mówił, uśmiechał się i do uprzykrzenia wyciągał mnie na przechadzkę. Nie mogłem się domyślić, o co mu szło, i po co mu ta przechadzka była potrzebna. Wyszliśmy więc i znaleźliśmy się na wałach, pięknie topolami ocienionych.

Po niejakiem czasie spostrzegłem w oddaleniu damę, z książką w ręku, zatopioną w czytaniu, zbliżającą się ku nam, ze spuszczonego wzrokiem, jakby nas nie widziała i nie domyślała się wcale. Nareszcie znaleźliśmy się tuż obok siebie.

Zdziwiona, oczy podniosła i przywitała się z Abramowskim.

Była to ładna osoba, oczy duże, wyraziste, i żywe, usta nieco szerokie, na których igrał uśmiech, jak przemijające się promyki słoneczne z pomiędzy kwiatów i liści. Płec, przypominająca różę mleczną. Słowem—po tylu miesiącach zamknięcia, mniej ładna nawet wydałaby się piękną w tej chwili. Teraz mogę powiedzieć, że piękną nie była, lecz przystojną każdąby mógł ją nazwać.

Gdym w te jej duże oczy spojrzał, przypomniałem, że, siedząc jeszcze w Ostrogu, spotykał te spojrzenia, dolatujące do zakratowanych naszych ciekien na piętrze.

Abramowski pod-

szedł, podał jej rękę i, zwróciwszy się ku mnie, wymienił moje nazwisko.

Była to panna Wiktoria Parnikiel, siostra plac-adjutanta, a córka lekarza pułkowego. Abramowski odegrał tu rolę Mefistofelesa. Spotkanie to było obmyślane i ułożone zawczasu, z panną Wiktoryą niezawodnie.

Po zaprezentowaniu mnie, znikł w zielonościach drzew i krzewów, zostawiając nas samych.

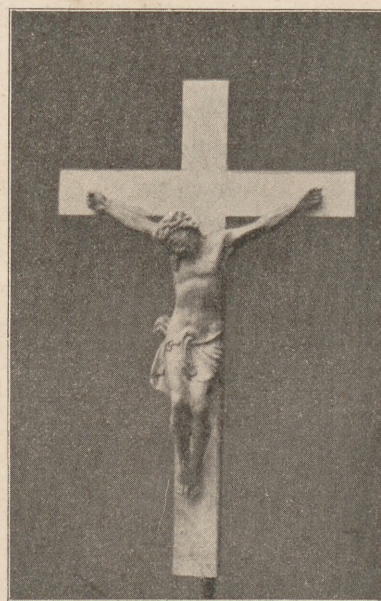
Z początku było milczenie, nareszcie jej duże oczy podniosły się i spotkały z moimi...

— Cóż to pani tak pilnie czytała? Muszę przeprosić, żeśmy przerwali. Pani się gniewa zapewne?

Oczy jej przysłoniły się długimi rzęsami, uśmiech przeleciał po twarzy, jak swawolny wietrzyk po kwiecistej łące, rękę, w której trzymała książkę, skierowała ku mnie. Spojrzałem: był to „Pan Tadeusz” Mickiewicza! A więc wszystko było z intencją obmyślane. Panna Wiktoria wiedziała dobrze, czym ująć i zainteresować. Urodziła się w Mińsku, językiem jej domowym był niemiecki i polski naprzemian, wyznania była helweckiego—a serce miała polskie, zdaje mi się.

Długośmy, chodząc, z sobą rozmawiali. Dyskretny Abramowski nie ukazał się i nie przewalał naszego widzenia się. Nareszcie usiedliśmy pod drzewem. Ona, wyjąwszy z koszyczka cukierki, podała mi je na dłoń. Przycisnąłem do mych ust i dłoń i cukierki, a w pół ją objąwszy, pocałowałem. Skoczyła, jakby obrażona; na czole to chmury, to błyskawice przelatywały.

(DN)



Rzeźby, wykonane przez Alfreda Römera w więzieniu dyneburskim.

mu około jedenastej powiadam:—Teraz trzeba kuć i o większe swobody dopominać się. Staraj-że się o to, by mi pozwolono być na tak zwanej „wolnej kwaterze”, gdzie nie będę tak związany, jak tutaj.

13 kwietnia udzielono mi pozwolenia, jako choremu na „wolną kwaterę”, to jest na wynajęcie mieszkania w prywatnym domu, w obrębie fortecy, bez prawa wychodzenia na zewnątrz murów.

Urządziłem się tam wcale przyzwyczajając się do usługi przysyłano mi co dnia żołnierza, tak zwanego „dieńszczyka”, który mi buty czyścił i samowar nastawiał. Teraz mogłem wykrzykiwać: — „Co za pyszne więzienie!” Używałem po całych dniach wolnego powietrza, włócząc się po wałach fortecznych, spoglądając na przelatujące mimo pociągi, na ludzi ruszających się wśród rozległego pola. Niedaleko ode mnie mieszkali tak samo na „wolnej kwaterze” Klikańscy, z którymi miłe były pogadanki o wieczornej porze.

Mieszkała w fortecy niejaka pani Łowczyńska, siedząca tam tylko dla załatwiania potrzeb zamkniętych więźniów. Wyprawiana stamtąd niejednokrotnie, utrzymała się jednak do końca, w ciągłej pozostając korespondencji z więźniami, którym była bardzo pomocną.

Codziennym mym towarzyszem stał się doktor Aloizy Abramowski, uwolniony z więzienia, zamieszkały w Dyneburgu, skąd do mnie przychodził co rano, przynosił mi wiadomości i sprawunki, a wieczorem wracał do siebie.



DWOREK

Z WYSTAWY SPECYALNEJ W T. Z. S. P.

WITOLD RZEGOCIŃSKI

## NA MARGINESIE.

Rozmawiałem przed kilku dniami z poważnym, posiwiatym w służbie publicystycznej pisarzem. Rozmawiałem krótko, dorywczo, ale z rozmowy tej zdążyła się wyłonić przecież zmoza dnia dzisiejszego: *przygnębienie*. Tak — wytrawny, przyzwyczajony do zawodów, nie żyjący żadnymi złudzeniami publicysta był przygnębiony i zdenerwowany do najwyższego stopnia.

— Nigdy nie czułem się tak źle, jak w chwili obecnej — rzekł mi przy pożegnaniu.

Odczułem te słowa, bo któż z nas czuje się w *chwili obecnej* dobrze, kogo nie dławi ta atmosfera, jaką oddycha dzisiaj nasze życie publiczne?

W kilka godzin potem spotkałem znajomego lekarza. Mimowoli poruszyłem w rozmowie z nim sprawę owego *przygnębienia*, które wyczuwam do koła siebie w stopniu coraz silniejszym.

— A czy może być inaczej — odparł mi doktor po chwilowym namyśle — czy może być inaczej, powtórzył, w społeczeństwie, które składa się od góry do dołu z neurasteników, z ludźmi bez woli i bez charakteru?

— No, przesadza doktor.

— Nie, drogi panie. Nie przesadzam wcale. Starym jestem praktykiem i znam swoich współobywateli na wylot. Wiem, na co chorują. Konia z rzędem, jeśli mi pan wskaże jednego człowieka w Warszawie, który miałby zdrową, słoneczną przepojoną duszę, nie wiedział, co to są nerwy, i szedł naprzód z uśmiechem i wiarą, że jego wola żelazna pokona wszystko, że prędzej czy później zdobędzie swój cel upragniony. Ba! drugiego konia temu, kto mi wskaże ludzi, żyjących z jakimś określonym celem przed oczyma, nie od chwili do chwili, nie z dnia na dzień.

Zawahałem się.

— Jesteśmy — ciągnął doktor dalej — w stadium zatrważającego rozproszenia naszej energii. Wszystko się rozlatuje. Całe społeczeństwo jest, jak beczka, z której spadły obręcze. Ani rusz złożyć to do kupy. Jedno drugiego się nie trzyma. Potrzeba się leczyć. I to leczyć metodycznie, stopniowo, nie z dziś na jutro, ale z pokolenia na pokolenie. Niech przynajmniej ci, co po nas przyjdą, będą inni.

— Jakąż doktor proponuje metodę?

— Tę samą, jaką stosujemy do każdego przeciętnego neurastenika. Zalecamy mu gimnastykę psychiczną i działamy na niego jednocześnie w dwóch kierunkach — ze strony autosugestyi idei i ze strony czynu. Tak, panie, *gimnastyki psychicznej* trzeba naszemu społeczeństwu. To jedyna droga do zdobycia charakteru. Dajmy ludziom ideę żywą, mocną, wrośniętą w ich mózg i serce, ideę, któraby jednakowem światłem świeciła dla wszystkich, i żądajmy od społeczeństwa czynów, czynów i jeszcze raz czynów, choćby spełnianych *pod przymusem*, a skończymy niewątpliwie na czynie dobrowolnym, spełnionym chętnie przez wytresowaną i dobrze zorganizowaną zbiorowość. Wy, publicyści, podkreślcie dzisiaj dezorganizację naszego życia i macie słuszność, ale nie zorganizuje się ono samo, trzeba je organizować, trzeba ludzi, którzyby się tej pracy poświęcili, którzyby uczynili z niej słońce i gwiazdy swojego życia, którzyby mieli w sobie tak silny nakaz woli własnej, iżby on mógł się stać imperatywem dla innych. Słowem, potrzeba ludzi z charakterem.

— Mówi doktor rzeczy ciekawe...

— Ani ciekawe, ani nowe, tylko elementarne. Mówił to przede mną tysiąc razy wielki nauczy-

ciel naszego narodu, Prus. On jeden widział rzeczy jasno i rozumiał, że musimy zacząć od *elementarza*. Tak, od elementarza. On jeden wołał aż do ostatniego tchu: kształćcie w sobie i w dzieciach waszych *charakter*. Ale cóż — wołał do Polaków. Kiedy Smiles tak samo wołał do Anglików — nie tylko wysłuchano go w Anglii i w Ameryce, ale miliony ludzi z jego książką w zanadrzu poszło w życie i odniosło kapitalne zwycięstwa. A my? Plakaliśmy nad trumną Prusa, ale plakaliśmy, jak dzieci. A jego nawoływania, jego nauki, jego mądre i przewidujące słowa zostawiliśmy w książkach. I dziś, gdyby Prus żył, nie przedstawalby jeszcze wołać o charakter i o kształcenie woli, o wyrabianie poczucia obowiązku w narodzie. Ale Prusa nie stało, więc wolimy rozprawiać o przygnębieniu i zdenerwowaniu, zamiast je zwalczać według starej a jedynej i niezawodnej recepty.

Doktor umilkł. Po chwili zaś, wyciągając do mnie rękę, dodał:

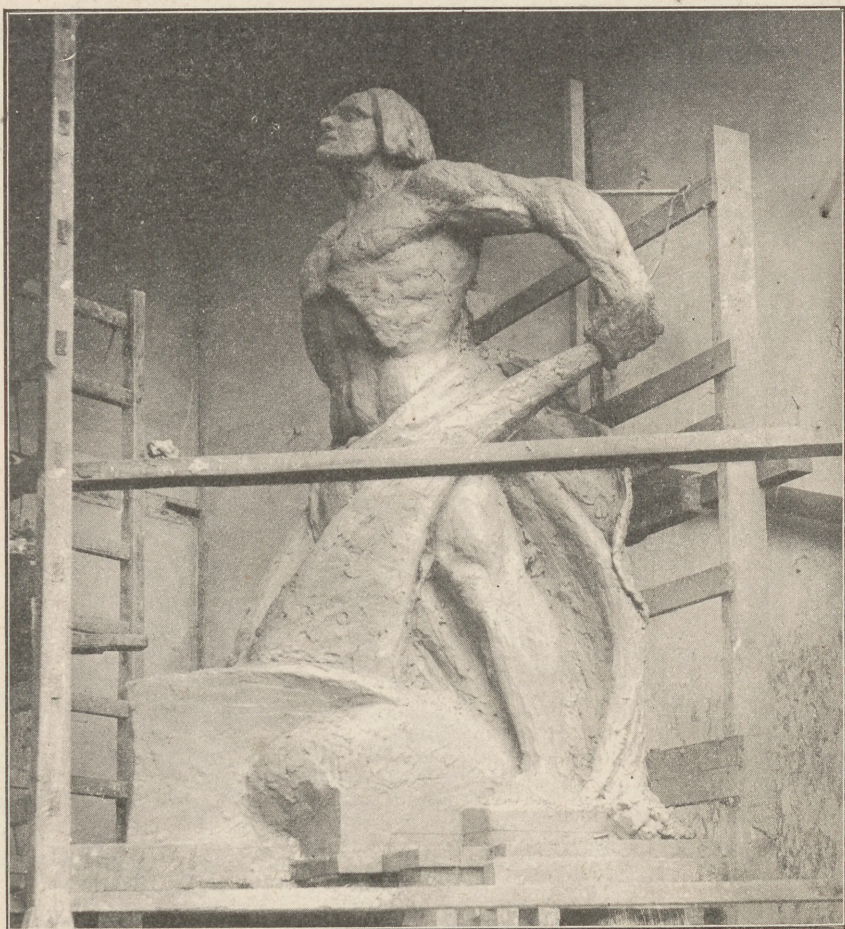
— Prawdę Wyspiański mówił: „Tyle jest ludzi, mnogo, tyle jest sił w narodzie”, ale dopóki siły te rozproszone nie skupią się, dopóki ludzie z charakterem i wolą nie nadadzą im kształtów, nie ulepią wedle swojej modły — dopóty w ruinach naszych będzie mieszkał tylko puszczyk przygnębienia. A naszemu życiu trzeba skowronka, małego, szarego ptaka, który wzlatuje ze skiby chłopskiej, ale śrubuje się prosto w słońce.

— Doktor jest poetą — szepnąłem.

— Nie, panie. Takim samym neurastenikiem, jak wy wszyscy, może z tą różnicą tylko, że miwam *lucida intervalla* i, jako lekarz, widzę jaśniej nurtującą nas chorobę. Zresztą, pomówimy o tem jeszcze kiedyindziej. Teraz śpieszę do chorego. To mówiąc, skinął na przejeżdżającą dorożkę. Zostałem po chwili na trotuarze sam i leniwo powlokłem się do domu.

JUR.

Z PRACOWNI PARYSKIEJ ANTONIEGO WIWULSKIEGO.



SZCZEGÓŁ Z POMNIKA GRUNWALDZKIEGO. KMIĘĆ Z PŁUGIEM. Rzeźba A. Wiwulskiego.

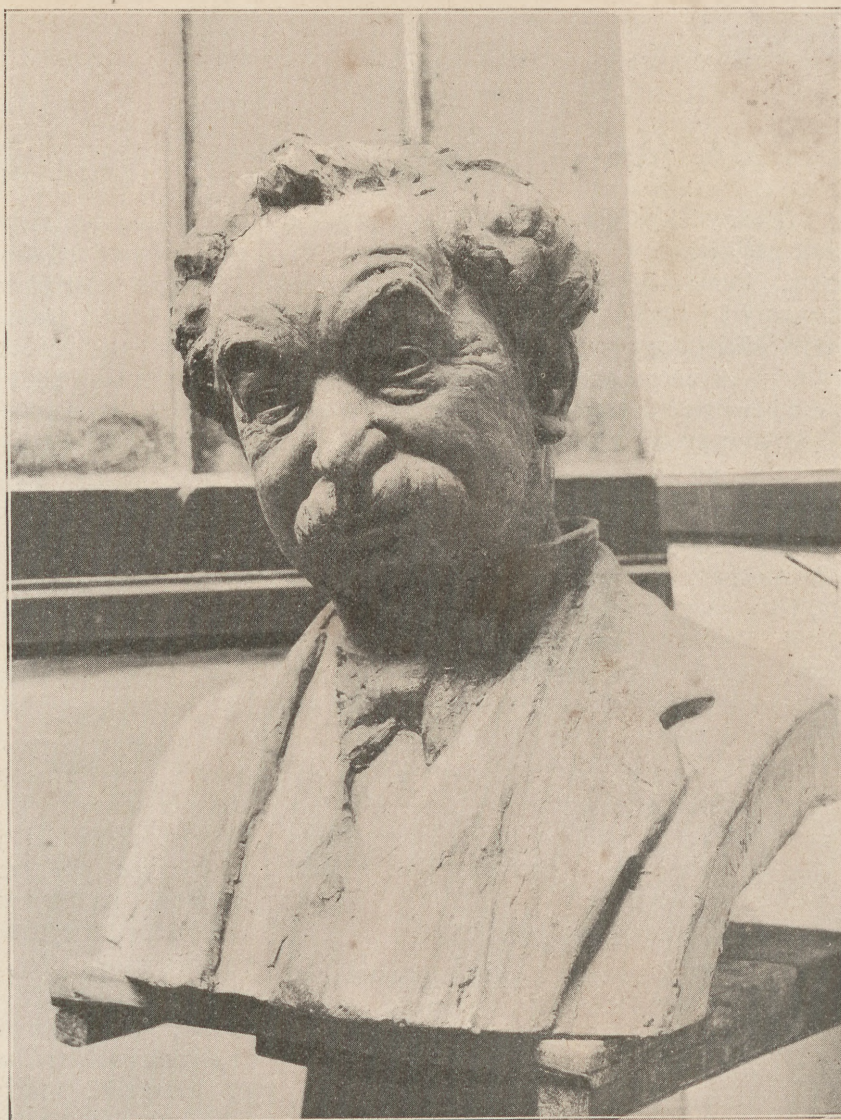


KAPLICA MATKI BOSKIEJ, ZBUDOWANA W SZYDLÓWIE NA ŻMUJDZI. Według projektu A. Wiwulskiego.



STUDYUM

ANTONI WIWULSKI



PORTRET D-ra M.

ANTONI WIWULSKI

Twórca pomnika grunwaldzkiego, A. Wiwulski, ukończył czwartą i ostatnią figurę „Kmiecia”. Figura ta uległa kompozycyjnej zmianie. Miał słowianina, zrywającego łańcuchy, artysta dał silną postać kme-

cia u pluga. Symbol pracy na ojczystym zagonie, pracy twardej, jako wiodącej naród do przyszłych zwycięstw, jest bezwzględnie mocniejszym od wielokrotnie odtwarzanego rwania pęt.

Figura kme-  
cia jest już w odlewni Go-

to-  
wa będzie za kilka miesięcy.  
Dzieło Wiwulskiego niebawem więc będzie całkowicie dokonane, ile że postać króla Władysława Jagiełły na koniu, w

bronzie, jest już w Krakowie. Artysta w tej chwili bawi na Żmudzi, gdzie w Szymbarku wznoszona jest kaplica Matki Boskiej, według jego projektu. W.

□□

### Nowy teatr polski.

Staraniem i funduszami zawiązanego świeżo we Lwowie Towarzystwa akcyjnego powstaje z dniem 1 października b. r. nowa scena polska (dramat i komedia) pod nazwą „Teatr premier”. Teatr ten grywać będzie we Lwowie i dziesięciu większych miastach Galicji, wystawiając

jedynie nowości współczesnego repertuaru, ze szczególnem uwzględnieniem sztuk polskich. Angażując artystów za całorocznymi kontraktami, nowa scena



Jan Pietrzycki.

rozporządzać będzie doborowym materiałem aktorskim, poddanym wytrawnej reżyserii Gabryeli Zapolskiej. Pozyskano również za roczną umową pierwszorzędne siły artystyczne na występy gościnne. Do stałej komisji artystycznej, czuwającej nad wybitnym kierunkiem sceny weszli lwowscy literaci: Adam Krechowicki, Jan Kaspro-wicz, Gabryela Zapolska, Adam Zagórski, Kornel Makuszyński, Stanisław Wasylewski i Jan Pietrzycki, któremu powierzono dyrekcję nowego teatru. Sezon teatralny obliczono na ośm miesięcy, w lecie zaś teatr grywać będzie w Zakopanem.

Nowej instytucji wróżyć można powodzenie. Do rozwoju jej i osiągnięcia jak najlepszych rezultatów przyczyni się także niemało poważna podstawa finansowa, na której rzecz została oparta.

„Teatr premier” wypełni dotkliwą lukę w życiu kulturalnem Galicji.



### Marya Fedorowiczowa.

Znakomita artystka dramatyczna, p. Marya Fedorowiczowa, pozyskana na nowo dla sceny warszawskiej, wystąpi po raz pierwszy 21 b. m. w sztuce „Eros i Psyche”.

### Uczczenie chłopów-poety.

W dniu 1 września r. b., jak już pisa-liliśmy, odbyła się w Dzikowie pod Tarno-brzegiem niezwykła uroczystość wręczenia daru narodowego w postaci zagrody włościańskiej znanemu poecie ludowemu, Ferdynandowi Kurasowi.

Na uroczystość przybyli, mimo niesprzyjającej pogody, liczni goście z dalszych stron, dziennikarze, obywatelstwo z okolicy, oraz tłumy mieszkańców Tarnobrzega i Dzikowa. Przed południem odbyło się uroczyste nabożeństwo w kościele OO. Dominikanów, odprawione przez ks. N. N.



PAWILON GŁÓWNY NA WYSTAWIE W PLESZEWIE.

z Królestwa Polskiego. Następnie o godzinie 2 po południu udano się powozami do Dzikowa, gdzie wiele domów przystrojono chorągiewkami o barwach narodowych, a samą zagrodę przybrano zielenią i chorągiewami. Po dopełnionym akcie poświęcenia nastąpił szereg przemówień.

Przebieg całej uroczystości świadczył o sympatii, jaką cieszy się wśród współobywateli obdarowany rolnik-poeta.

### Wystawa w Pleszewie.

Zamknięta w ubiegłą niedzielę wystawa przemysłowa w Pleszewie, w południowej dzielnicy W. Ks. Poznańskiego, dała piękne świadectwo ruchu i rozwoju wielkopolskiego. Obmyślana starannie, urządzona wzorowo i wykończona w terminie była przez trzy tygodnie miejscem zbiorowych wycieczek i zjazdów rzemieślników, kupców i ziemian. Nie brakło także i gości z Królestwa, Galicji i z wszystkich stron zaboru pruskiego. Bardzo dodatnio przedstawiały się zwłaszcza działy: maszyn rolniczych, metalurgiczny, mieszkań, przemysłu drzewnego, skór nego, ceramicznego i ogrodniczego, a atrakcją wystawy były: pawilon ludoznawczy i zbiór prac malarzy wielkopolskich. Ogółem brało udział około 150 firm. Punktem kulminacyjnym wystawy była niedziela 1 września, w którą zjechały się trzy organizacje: związki kupców samodzielných, podróżujących i młodzieży kupieckiej, celem omówienia spraw zawodowych.

—tj—

### Jarosław Vrchlicky.

Naród czeski poniósł ciężką stratę. Zmarł Jarosław Vrchlicky. Żałobna wieść o jego zgonie rozeszła się daleko poza granicami ojczyzny znakomitego poety i szczery znalazła oddźwięk przedewszystkiem w wielu sercach polskich.

Vrchlicky, którego właściwe nazwisko brzmiało Emil Bohusz Frida, urodził się w r. 1853 w Lounach, w Czechach północnych. Pochodził z rodziny kupieckiej. Wrodzone usposobienie i wielki talent oddaliły go jednak rychło od sfery, do której należał.

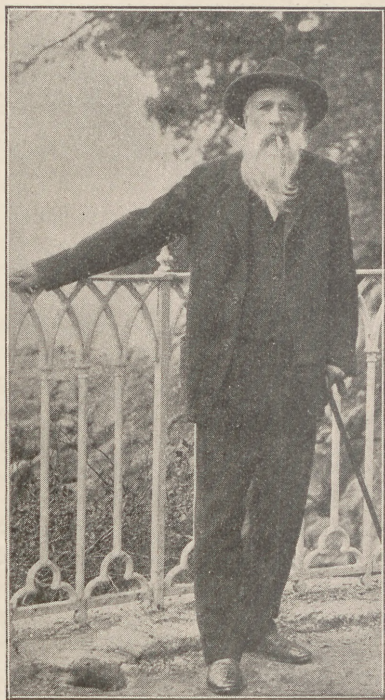
Odbywszy studia, początkowo teologiczne, później filozoficzne, poświęcił się całkowicie poezji.

Niezwykły i wielostronny jego talent zajaśniał wkrótce blaskiem pierwszorzędnym. Nie był wprawdzie Vrchlicky poetą górnych natchnień, ale, jako wirtuoz, doprowadził wiersz czeski do wysokiej doskonałości i rozelśnił go nieznanymi przedtem blaskami piękna. Główną cechą jego poezji stanowi liryzm refleksyjny, przepelniony zasobem bogatych, mających charakter wszechludzki, uczuć i myśli. Bogactwo to wypływało z rozległej kultury, jaką poeta zdobył, kształcąc się na wzorach romańskich, do których zbliżył się podczas pierwszej swojej podróży włoskiej w młodzieńczym jeszcze wieku, kiedy, jako guwerner w domu prywatnym, bawił za Apeninami. Do najpiękniejszych liryk Vrchlicky'ego należą zawarte w zbiorach: „Z głębin”, „Symfonie”, „Sny o

szczęściu”, „Duch i świat”. Nadto przepych jego słowa znalazł pełny i doskonały wyraz w całym szeregu utworów epickich, jak „Myty”, „Vittoria Colonna”, „Twardowski”, oraz w tragediach: „Drahomira”, „Śmierć Odysseusza” i „Julian Apostata”.

Dla literatury czeskiej położył nadto Vrchlicky ogromne zasługi, jako tłumacz Dantego, Victora Hugo, Leopardiego, Mickiewicza i in. Dokonany przez niego przekład „Dziadów”, stojący najzupełniej na wysokości zadania, zadzierzgnął też pomiędzy poetą czeskim a Polską węzły trwałe sympatii. Imię Vrchlicky'ego nabrało u nas rozgłosu, a przekłady Konopnickiej, Zenona Przesmyckiego (Miriana), Bronisława Grabowskiego, Ant. Langego i Fr. Krzeka spopularyzowały jego poezję u nas, oczywiście, w granicach, w jakich ta wykwinna, abstrakcyjna i pod koniec twórczości poety coraz wyłącznie wirtuozowska poezja popularną być może.

W Czechach Vrchlicky miał uznanie duże. Kiedy w r. 1890 założono Akademię czeską—został jednym z pierwszych jej członków, a w r. 1893, kiedy obchodził



Jarosław Vrchlicky.

25 - lecie pracy literackiej, spadło na niego wiele zaszczytów.

Spółeczeństwo polskie uczyło wielkiego poetę pobratymczego narodu dwukrotnie—po raz pierwszy w r. 1894, powołując go obok Asnyka na honorowego wiceprezesa Zjazdu literatów polskich podczas pamiętnej wystawy krajowej we Lwowie, po raz drugi w r. 1898, kiedy poeta, jako delegat Akademii czeskiej, przybył do Krakowa na uroczystość odsłonięcia pomnika Adama Mickiewicza.



S.p. Karolina z hr. Mycielskich Adamowa hr. Krasinska. Według miniatury z lat młodszych.



UCZCZCZENIE CHŁOPIA POETY (KURASIA). Przemówienie ks. dziekana S. Rudnickiego.

## ❧ MIESZANINY LITERACKO-ARTYSTYCZNE ❧

### Czterdzieści pieśni Rigwedy.

„Rigweda” jest najstarszym pomnikiem języka i piśmiennictwa indo-europejskiego. Jest starsza przynajmniej o lat tysiąc od Iliady i Odysei i ta starożytność nadaje zawartym w niej hymnom szczególną wagę.

Słusznie też mówi tłumacz „Czterdziestu pieśni”, p. Stanisław F. Michalski, że „do rozwiązania zagadki ludu indoeuropejskiego Rigweda jest może najcenniejszym kluczem, jaki posiadamy”, tylko bowiem przy pomocy tych indyjskich pieśni można wejść w świat pierwotnych wierzeń i obyczajów indoeuropejskich.

Jakież to był świat? Rigweda pozwala nam go rekonstruować w zarysach zupełnie zdecydowanych. Na podstawie jej hymnów możemy stwierdzić, że głównym zajęciem ludów starożytnych było pasterstwo. Jeszcze w epoce niepodzielnej jedności plemiennej hodowała krów, koni i owiec musiała być, obok rolnictwa, głównym zajęciem indoeuropejczyków. Stada zwierząt domowych były jedynym ich bogactwem. Nieustannie też spotykamy w Rigwedzie korne błagania bóstw o konie, owce, a nadewszystko o byki i mleczne krowy. Krowa dla piewców Rigwedy była tem, czem dzisiaj jeszcze niejednokrotnie bywa dla chłopca polskiego, który w kieleckim nprz. nazywa ją „bożą rosą”. Obok hodowli bydła kwitło również rolnictwo. Indoeuropejczycy uprawiali jęczmień, z którego wypiekali placki; z maki jęczmiennej składali ofiary. Ryżu nie znali jeszcze. Mięsa spożywali bardzo niewiele. Mleko i masło były ulubionym pożywieniem „bógów i ludzi”. Wśród napojów sfermentowany sok rośliny „somy” był najulubieńszym—do tego stopnia, iż „somy” podniesiono do godności bóstwa, Cała też IX księga Rigwedy jest poświęcona „somi”. Mieszkali indoeuropejczycy w chatkach drewnianych, krytych słomą lub trzcina, co w Polsce przechowało się jeszcze do dzisiejszego dnia w postaci strzechy. Pewna liczba takich chat tworzyła wieś, którą otaczano zazwyczaj palisadą dla ochrony przed dzikimi zwierzętami. Na wzgórzach zakładano warownie. Miast w znaczeniu późniejszym jeszcze nie było. Z rzemiosł na plan pierwszy wysuwa się ciesielstwo, kłodziejstwo i t. zw. dzisiaj stelmachostwo. Nadto znano sposoby topienia metali i garbowania skór. Trafiali się wreszcie kowale i garncarze. Handel był tylko zamieny i mało rozwinięty. Jednostką pieniężną była krowa. Złoto używane było tylko do ozdoby.

Społeczność indyjska opierała swe istnienie na rodzinie, na której czele stał ojciec rodziny. Rodziny pokrewne żyły najczęściej w jednej wiosce, wioski tworzyły gminy, a gminy plemiona. Plemiona te były samodzielne i tylko dla obrony lub napaści łączyły się z sobą.

Indowie toczyli walki głównie z dawnymi mieszkańcami zdobytej ziemi, z ciemną rasą „Dasów”, którą zwolna wypierali na południe. Za broń służyły im przede wszystkim łuki, dzidy i siekiery. Walczono na wozach i pieszo. Ulubionem ich igrzyskiem były wyścigi, w których wykazywano swą zręczność, siłę i rącość koni.

To wszystko jasno i wyraźnie mówi nam Rigweda w swoich 1028 hymnach, podzielonych na 10 ksiąg, czyli *mandali*. Hy-

mny poświęcone są panteonowi bóstw indyjskich, stosownie do indyjskiego podziału wszechświata na trzy królestwa: ziemi, powietrza i nieba. Na ziemi jest właściwie jeden tylko wielki bóg—*Agni*, czyli ogień; w powietrzu panuje „piorunodłony”, jak go nazywa p. Michalski, *Indra*. Niezliczone pieśni sławią go w Rigwedzie. On zabił tysiące demonów, on zwałczył *Writrę*, który powstrzymywał wody niebieskie. Jest on panem i twórcą świata, wynagradza dobrych, karze złych. Panowanie z nim dzieli: *Wata*, bóg wiatru, *Rudra*, bóg burzy, *Pardżania*, bóg deszczu. W królestwie nieba najciekawszymi postaciami są dwaj *Aświno wie*, pojawiający się co rano na niebie i objeżdżający cały świat na swoim cudownym wozie. Odpowiadają oni greckim *Dioskurom*.

Nie możemy tu zagłębiać się w mitologię indoeuropejską, ani uwypatniać wszystkich piękności poetyckich *Rigwedy*, która przenosi nas do kolebki i źródeł naszej prakultury. Odsyłamy więc czytelnika do wybornego przekładu „Czterdziestu pieśni”), dokonanego przez p. St. F. Michalskiego, a poprzedzonego wstępem, który wprowadza nas w świat pierwotnej wiary, zwyczajów i obyczajów naszych dalekich przodków. Przekład ten jest dla piśmiennictwa naszego nabytkiem cennym i pożądanym.

<sup>1)</sup> Czterdzieści pieśni Rigwedy. Przetłumaczył Stanisław F. Michalski. Kraków 1912. Wydawnictwo *Ultima Thule*. W Warszawie skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

□□

### „W walce o słońce”.

Taki tytuł nosi wydany świeżo zbiór poezji Adama Stodora<sup>1)</sup>.

Zbiór nie pierwszy już, poeta bowiem znany jest w Galicji z kilku już zbiorów wierszy, odznaczających się szczerem, głębokim uczuciem.

Ta szczerota uczucia znamionuje poetę i w jego „Walce o słońce”.

Lucyan Rydel, który napisał do tego tomiku przedmowę, charakteryzując twórczość Stodora, zaznacza, że „kto w poezji szuka tylko harmonii dźwięcznych zgłosek, nanizanych, jak brzękadła, na nitkę czczego frazesu, kto ceni tylko zimną doskonałość formy—ten niech się nie kwapi do tej książki. Takiego czytelnika mogłoby razić tu i owdzie niedość wytworne słowo lub sonet, wykraczający przeciwko wzorowej budowie—nie iżby poeta

<sup>1)</sup> Adam Stodor. „W walce o słońce”. Wstępem poprzedził Lucyan Rydel. Lwów 1912. Księgarnia Jana Maniszewskiego.



STUDYUM PORTRETOWE

A. MONAT

nie umiał zdobyć się na muzykę wiersza, ale dlatego, że to, co przelewa się w duszy wezbranej, wrażenie, uczucie, myśl—to jest u niego rzeczą pierwszą i główną”.

Jest to najtrafniejsze ujęcie i najbliższe prawdy określenie indywidualności Stodora. Poeta ma duszę bardzo wrażliwą. Uderza w nią wszystko i wszystko prze-  
tapia się w niej na motywy poetyckie. Mając za sobą niejedno już doświadcze-

nie, wyłuskawszy z życia niejedną gorzką prawdę, Stodor jednak nie pograżył się wcale w pesymizm. Wiara w słonce jest jego wiarą mocną, opartą na głębokim przeświadczeniu o zwycięstwie pierwiastków dobra nad pierwiastkami zła. Nie lęka się też poeta bynajmniej cierpienia, ale widzi w niem drogę do wyzwolenia

słonecznych ducha, drogę, prowadzącą w lepsze i promienniejsze jutro. I dlatego śpiewa ufnie i z dobrą nadzieją:

„Błogosławione niech będzie cierpienie  
i męka życia, i walka, i trud—  
Plug ostrzem jeśli roli pierś przeorze,  
Po zimie ujrzyz niespodziany cud...”

□□

Kunsztmistrzem słowa, czelatorem wiersza, wykradającym wyrazom ich tajemniczą muzykę, Stodor nie jest, ale jego myśli i uczucia, choć nie zawsze w artystycznie udrapowane przybrane szaty, warte są poznania, jest w nich bowiem siła krzepiąca i dobry siew na przyszłe żniwa, jest miłość człowieka, ziemi i narodu.

### Z dziedziny kartografii polskiej.

Ubogą dziedzinę kartografii polskiej wzbogaciły świeżo dwa wydawnictwa, zasługujące na bliższą uwagę. Jednym z nich jest—mapa gubernii kaliskiej, drugim—mapa Tatr. Mapę gubernii kaliskiej „z oznaczeniem urzędów państwowych, kościelnych i przemysłowych, oraz planem miasta Kalisza” wydał p. Stanisław Graeue<sup>1)</sup>. Mapa ta imponuje przedewszystkiem swymi rozmiarami. Nietylko jednak skala, w której została wykonana (1 : 100.000), stanowi jej zalety. Wystarczy rozłożyć przed sobą jeden powiat (bo całej gubernii rozłożyć niepodobna—chyba na podłodze obszernego pokoju) i przyjrzeć mu się dokładnie, aby nabrać pojęcia o drobniactwie, pedantycznym opracowaniu całości. Jest tu wszystko, czego od mapy danej okolicy wymagać możemy, a co przyzwyczajaliśmy się znajdować gdzie indziej, jak na słynnych ze swojej precyzji i bogactwa wiadomości, dotyczących Królestwa Polskiego, mapach pruskiego sztabu generalnego. Dla mieszkańców gubernii, zwłaszcza dla ziemian kaliskich, tak opracowana mapa jest niezastąpionym źródłem do poznania całej okolicy. Nadto odda ona niemałe usługi wszystkim, którzy zapragną zorientować się bliżej—dla tych lub innych celów—w obszarze ziemi polskiej, noszącej nazwę administracyjną gubernii kaliskiej. Wydawcy tej mapy, niezwykle kosztownej pod względem nakładu, a jednocześnie, w stosunku do poniesionych kosztów—niezwykle taniej—należy się uznanie i wdzięczność za z bogactwem kartografii polskiej tak cennym nabytkiem.

Nie mniej dodatnio przedstawia się opracowana przez p. Tadeusza Zwolińskiego (w skali 1 : 37.500) „Mapa wschodniej części Tatr zachodnich wraz z zachodnią częścią Tatr wysokich” (Zakopane. Nakład i własność księgarni L. Zwolińskiego).

Wobec rosnącego ciągle ruchu turystycznego w Tatrach, mapa p. Zwolińskiego stanowić powinna niezbędny materiał orientacyjny dla każdego, kto zamierza odbyć dalszą wycieczkę górską bez przewodnika. Dobre zaznajomienie się z tą mapą zmniejszy też niewątpliwie szanse licznych dzisiaj wypadków, wynikających w znacznej mierze z niedostatecznej znajomości terenu i lekceważenia czyhających na turystę niebezpieczeństw.

□□

### Polska przed stu laty.

„Do „Kuryera Litewskiego” donoszą z Warszawy dn. 23 lipca 1812 r.

„Dwa dni temu młoda i piękna Ukrainka przyszła do księcia Czartoryskiego (generała ziem podolskich), ubrana po ułańsku, co bardzo dobrze wydawało się na jej postaci. Oświadczywszy księciu, że się nazywa Naczawska (Nakwaska?): imię znajome na Ukrainie, dalej powiedziała, że przychodzi z okolic Żytomierza, że od dawna mąż jej służy w polskim wojsku, że równie z nim kocha swoją ojczyznę, że równie z nim chce się dzielić niebezpieczeństwami i szczęściem; że, skoro dowiedziała się o rozpoczęciu kroków nieprzyjacielskich, natychmiast zakomunikowała swoje zamiary towarzyszkom i że wraz przeszło 200 kobiet ubiegało się o honor służenia z nią razem, lecz że w pierwszej chwili nie chciała wziąć jak tylko te, których przedsięwzięcie było tak mocne i stałe, jak jej własne; złączyła się zatem z 15 kobietami, za które jak za siebie ręczyć mogła. Księżę Marszałek oklaskami uwielbił jej odwagę, lecz rozumiejąc, że przyszła z tą wziętą w zamiarze zyskania pomocy na umundurowanie i uzbrojenie swojego oddziału, oświadczył księżu, że jej może w miarę możliwości. Piękna Ukrainka odpowiedziała, że jej majątek, jakoteż fortuna jej towarzyszek wystarczą na wszystkie wydatki, że tylko dwóch rzeczy im niebrakuje—broni i koni, i że dlatego jedynie postanowiły udać się na Warszawę. Przydała, że spodziewa się za kilka wyjechać do wojska ze swoim oddziałem”.

□□

WŁADYSŁAW ST. REYMONT:

## Rok 1794.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

41)

Zastrzega się wszelkie prawa  
przedruku przekładu.

— Wielki to jeszcze sekret, zatrzymaj go przy sobie—uśmiechnął się porozumiewawczo—aktualnie czekam na konsystorskich jurystów. Sprawa będzie drażliwa i przychodzi mi całę nie w porę. Przytem nie lubię pieni, a szambelan do kompromisu nie pójdzie, zechce sprofitować z okoliczności.

— Wuj ma już ten zamysł uformowany? A zna wuj dobrze księcia?

— Tylko z opinii Sieversa i listów Izy; już ci wiem, że jest pułkownikiem grenadierów, przyjacielem Zubowa i faworytem petersburskiej socyety. Substancję ma pono znaczną, kilkadziesiąt tysięcy dusz, no i tytuł.

— Ta jego krymska książęca mość cuchnie baraniami skórą, czabaństwem.

— Taki już świat, że dosyć ma pozorów dla estymacyi. Zasięgałem o nim tu i owdzie języka: renomowany to kawaler i cieszy się uwielbieniem powszechności.

— Bo nikomu nie szczędzi komplementów i złoto rozrzuca garściami.

— Masz do niego jakąś awersję?

— Mówię sine titulo, bom nawet z nim w pewnej komitywie, jeno że to człowiek obcy, choćby i najgodniejszy, obcy wiarą i obyczajem.

— Ludzie oświeceni wszędzie są jednej wiary—w rozum i naturę. Zostawmy takie przesady pospółstwu—począł się niecierpliwić.

— Ależ on służy przeciwko nam!

Ledwie się już wstrzymywał.

— Tum cię właśnie czekał. Otóż to jedna z największych racyi, aby wydać za niego Izę. Sievers mi szepnął, że on zostanie gubernatorem wszystkich oderwanych województw. Zważ tylko rozumem, jakie z tego dla nas mogą być następstwa, jakie splendory i jakie korzyści. Mieć w obozie nieprzyjacielskim swój „sekret“, jak wy to nazywacie, nakazuje przezorność. Zawierzę ci na ucho, jako w Petersburgu wzmaga się z dnia na dzień partya Następcy, z którym Cycyanow jest w tajnej i zażyłej komitywie. Imperatorowa jest w latach i przy jej burzliwych pasjach trzeba być przygotowanym na wszelką okoliczność. Rozumieją to już drudzy. Ks. M. Czetwertyński, który pojechał do Petersburga w homagialnej deputacji imieniem oderwanych województw, już zabiega koło Pawła i robi pakty z Naryszkinami o swoją śliczną córkę. Wiele naszych domów zamyśla podobnie. A pocóż kazał się wybrać do tejże delegacji ks. Sanguszko? i ks. A. Lubomirski, i M. Sobański, i Rzewuski kasztelan witebski, i Grocholski, i Wyleżyński? Składać hołd powinny Imperatorowej, ale i zabiegać o swoje partikularne sprawy.

— Pojechali łowić panem bene merentium.

— Stawiam głowę, jako z pustemi rękami nie wrócą. I słuszną to rzecz, aby, co odebrano Rzeczypospolitej, wróciło chociaż w części do rąk obywatelów.

— Obyczaj szakałów karmić się trupami—szepnął zdławionym głosem.

— A jeśli mi się z Izą nie uda—ciągnął, nie zważając na jego słowa—to mojego Stasia umieszczę w pułku Następcy: niechaj się chłopiec szlifuje i dorabia fortuny i znaczenia.

— Gdzież on aktualnie przebywa?

— W Sieniawie u księcia generała ziem podolskich.

Zdumiał się Zaręba, gdyż kasztelan był antagonistą „Famili“.

— Pogodziłem się z konieczności—mruknął przebiegle. —Księżę generał jedyny to w Polsce wielki pan, i chociaż rozdyma go pycha, że nawet o królu pruskim wyrzekł, jako ma lepszych od niego szlachciców do podawania lulki, człowiek to wielce oświecony, wspaniały i szczodry. Wziął Stasia do swego boku; chłopak nabierze światowego poloru, górnych manier i wyćwicy się w materyach krajowych. Księżę ma zachowanie u wszystkich sąsiednich potencyi, jego więc protekcya może każdego wysoko wypromować. Zaś księżna prowadzi swoją politykę, popiera gorąco zelantów i ma czucie z egzunami w Dreźnie i Lipsku. Takie stosunki mogą się Stasiowi w ewentach życia wielce przydać. Jeśli zaś wyklarują się krajowe sprawy tak, jak mnie mam, lub jeśli projekty Izy nie wezmą dobrego skutku, to go pchnę do Petersburga. Muszę być gotowy na każdą okoliczność. Kto na dorobku, temu nie wolno azardować się na burzliwych fluktach sentymentów, musi mieć rozum za przewodnika.

— Maksimy godne uwielbienia—wyrzekł Zaręba, nie patrząc mu w oczy, ale musiało coś w jego głosie zaniepokoić kasztelana, gdyż dodał:

— Bóg świadkiem i pocziwi ludzie, że służę ojczyźnie, jak potrafię i rozumiem, ale też i nie poczytuję sobie za grzech zabiegać o przyszłość jedynaka. Z ojczyzną będzie, jak zdarzą losy i okoliczności się złożą, nie w naszej już mocy odwrócić przeznaczenie, więc powinnością słuszną jest ratować siebie i swoich.

Wyznawał się coraz szczerzej, aż Zaręba nie mogąc już znieść wylewu plugastwa, przerwał mu bardzo pokornie:

— Wuj na długo do Grodna?

— Biskup słał pocztę za pocztą, aby zdążyć na porę ratyfikacji traktatu z Rosją, potem przyjdą do deliberacyi materye pruskie i tyle jeszcze innych, że wypadnie mi tutaj pozostać do końca sejm.

— Aż do solennych egzekwi za Najjaśniejszą Rzeczpospolitą.

— Pleciesz! —obruszył się — najlaciej drwić a krytykować.—Nakręcił złoty pektoralik, obsypany brylancikami, i ozwał się łaskawie:—Siadaj, ja sobie jeszcze popromenuję dla konkokcyi żołądka. Powiem ci otwarcie, mój chłopcze, iżś opuścił swoich jakobińskich socyuszów, uczyniłeś i mądrze i pocziwie. Przepowiadałem twojemu ojcu: niech się

jeno wywojuje i na własne oczy zobaczy, a wnet przyjdzie do statku.

— Jakoż i nabyłem eksperyencyi i słusznego o świecie rozumienia.

— Długoś bawił w Paryżu?

— Z górą pół roku.

— Jakże ci smakowała owa wielbiona równość, wolność i braterstwo? Jakże ci się wydał ów raj rozbestwionego pospółstwa? Milczysz! Wstyd ci przyznać się do błędu? Tak i rozumiałem, że wrychle wytrzeźwiejesz. Francuskie medykamenta skuteczniej leczą żywoty, niżli choroby. Jatki uczynili z tej Rzeczypospolitej i generalną mordownię. Znam ja ich maksimy, znam. Na bywszym sejmie, skorom zobaczył tę „czarną procesję“ z Dekiertem na czele, w lot zrozumiałem, że nie praw przyszli się upominać, lecz panowanie brać nad nami. Stado wilków przyodzianych w owcze skóry. Słyszałem, jak krzyczeli: wiwat król, wiwat wszystkie stany! Nie dałem się uwieść sentymentom ni pozorom. Ks. podkanclerzy i Małachowski, i Weyssenhoff, i drudzy ich obrońcy i protektorzy, byliby, jak w Paryżu, pierwsi dali głowy, a za nimi drudzy, zaś niechby się potem ruszyło chłopstwo a jużby było po nas...

— Ale możeby ocalała Rzeczpospolita—wtrącił szepem.

— Rzeczpospolita to my—zawołał gwałtownie—usuń kamień węgielny, a cała budowa runie i pozostanie jedna kupa gruzów. Widziałeś, co się wyrabia we Francyi? To wyimaginuj sobie, jako u nas byłoby jeszcze gorzej, niebo a ziemia by pozostała. Rousseau toć najoczywistszy szaleniec, a jego „umowa społeczna“ i „prawa człowieka“ nic, jeno majaczenie obłąkanego. Tylko w grobie następuje równość. Ale póki ludzkości, póty będą mądrzy i głupi, bogaci i biedni, słabi i mocni, prawo i posłuch. Bowiem bez prawa niema społeczności. Jakobini ścięli króla, wytracili szlachtę, skasowali kościoły, zrównali stany i wypędzili Pana Boga! A cóż z tego za szczęśliwość powszechności? Że się teraz między sobą wadzą i gryzą niby wściekle wilki o panowanie i bogactwa! Może tak nie jest? Może zaprzecz mi?

— Nie zapieram niczemu, niczemu—odpowiedział glucho.

— I zobaczysz, jak się to sankiulockie psie wesele skończy! Wyleje się tam jeszcze krwi, nim zapanuje stary ład i porządek, wyleje. Król pruski zaczął już w Moguncyi uczyć rozumu swoich jakobinów.

— Tak, tak—potwierdzał, dygocząc ledwie hamowaniem wzburzeniem.

— Ale dajmy temu spokój—zakonkludował naraz kasztelan—te materye żółć mi poruszają. Pomówmy o tobie lepiej. Dałbym głowę, jako twoja suplika do króla nie weźmie skutku, ale ja ci obmyślę jakąś intratną funkcję. Zdaj się na mnie. Już mówiłem o tobie z biskupem Kossakowskim, właśnie rozgląda się za kim godnym zaufania

i zdatnym do pióra. Masz głowę otwartą, wyćwiczone nauką talenta i przez niego mógłbyś się wypromować. Pójdiesz ze mną do niego na dzisiejsze przyjęcia, przedstawię cię i zalecę. Gdybyś mu się udał i mnie byłoby to wielce na rękę. Bo widzisz, chociaż z nim pozostaję w serdecznej komitywie, ale radbym z boku wiedział, co się tam, sub secreto wyrabia u niego. Biskup to głowa in statu, tylko nieco gorączka, z Sieversem niepotrzebnie drze koty i zbyt zadufany w potęgę Zubowa. Wiadomo zaś, jako i najpotężniejszym faworytom przychodzi tracić łaski. Powiem ci na ucho, że i tego wypiera już zwolna jego rodzony brat, bawiący aktualnie w Grodnie. Otóż w tem dowcip, by się nie dać pograżyć nieprzewidzianym okolicznościom i wiedzieć naprzód, na jaką pogodę się zanosi. Byś chciał, a twoja fortuna roslaby wraz z moją. Czasy teraz przyjazne dla mądrych i przezornych. Po sejmie może mi się uda zasiąść w Radzie Nieustającej, biskup obiecał mi solennie, a czego on chce, król ferować musi, nie potrafi tylko obronić w Petersburgu konfederacyi, wiem to sub sigillo. A wejść do Rady, to i dla ciebie się tam należeć musi jakowaś funkcyja. Junctis viribus, mój chłopcze, zakonotuj sobie, a rychło dosięgniesz fortuny i znaczenia. Patrzaj, jak się prędko wynieśli Kossakowscy! A Ożarowscy! Czem to jest Ankicz. Jakie widne miejsce zajął Międzyński! A Żaluski? Wszak to o miłościwie nam panującym napisano takowy wierszyk:

„Przedziwne to jest dzieło Boskiej opatrności,  
Syn królem, ojciec w krześle, a dziad podstarości“.

Więc czemuż to nie mogą sięgać choćby najwyżej Górscy i Zarębowie? Masz-li przeciwną rację? Nie trzeba się jeno lenić i spuszczać z uwagi sposobnych okoliczności, każda bowiem droga prowadzi do Rzymu. Dodam tylko, że bez substancyi niczego znacniejszego nie dosięgniesz. Zali personat na pięci chłopach może stanowić o losach powszechności? toż nie znajdzie uważania nawet u swojego podstarościęgo. Wiem ja coś o tem, zaczynałem przy panu Krakowskim jako pacholik i ćwiczyli mnie w rozumie na kobiercu, nie mam sobie tego za wstyd, bom go nabył należyte. Nie sztuka urodzić się z kasztelanstwem w kolebce, ale trzeba głowy nielada, by się dźwignąć z chudopacholka na senatorskie krzesło i dojść fortuny nie krzywdą.

Rozszerzał się z lubością i nad miarę nad samym sobą, Zaręba zaś słuchał tych szczerzych zwierzeń z uśmiechem, jakby wylekłym od głębokiego obrzydzenia i awersyi. Potakiwał mu jednak, w niczem się nie przeciwiąc i postanawiał iść ślepo za jego radami, byle się jeno znaleźć w samym obozie wrogów. Już sobie bowiem wystawiał te pożytki, jakie dałyby się wyciągnąć z takowej sytuacji dla sprawy, gdy kasztelan, przyszedłszy na aktualne materje polityczne, naraz powiedział znacząco:

— Ma się na jakąś odmianę, może być plucha, a może i coś gorszego.

— Niby jak to wuj rozumie? — spytał żywo.

— Że w Lipsku i Dreźnie coś się agituje; darmo tam nie siedzi ksiądz podkancle-

rzy i jego socyusze, żeby nie znali jakowejś kabaly. Wszak i zelanci na sejmie nie czynią oporu wszelkim rozsądnym zamierzeniom, bez zachęty stamtąd. Kłują się jakieś zamysły, dałbym głowę. A utwierdza mnie jeszcze bardziej w podejrzeniach to, że na Onufrejskim jarmarku w Berdyczowie spotkałem wojewodzica Działyńskiego; pił, hulał, dawał codziennie stoły i asamble, bratał się nawet z rosyjskimi oficerami. Znają go przecież, jako jest wielce wstrzemięźliwy i nie lubi próżnych ekspensów, więc takie szastanie się nie może być bez kozery. Mój Klotze, który słyszy jak trawa rośnie, szepnął mi, jako wojewodzie najchętniej przestaje z abszytowanymi oficerami, rozsyła po kraju jakieś sekretne sztafety, a konie i woły całemi stadami skupuje i wysyła do Warszawy.

— Wiadomo, że wielce dba o swój pułk, więc może dla niego.

— Mnie to jednak zastanawia. Klotze powiada, że nawet gemeinów ściąga i kompletuje swoje szeregi, i to teraz, kiedy ogólna redukcya wojsk prawie jakby już postanowiona na sejmie.

— Jakże to sobie wuj imaginuje?—spytał z bijącym sercem.

— I Haumana skaptował do siebie na pułkownika.

— Nie rozumie się bowiem na wojskowym rzemiośle, a ludzi rycerskich kocha, zaś Hauman w bywszej wojnie stawał mężnie na podziw.

(DCN)

EUGENIA ŻMIJEWSKA:

## PAN HRABIA.

Doktor nie miał sposobności wyrazić swych aspiracyi, gdyż księciu przyszło natchnienie.

— Panowie — rzekł, zwracając się ku poprzednim i ku wchodzącemu właśnie w tej chwili panu Ciapkowskiemu. — Panowie — powtórzył z naciskiem — zwróciliście się do osoby niewłaściwej.

— Czy może być właściwsza? — zaprzeczył gorąco aptekarz.

— Może być i jest — upewnił go książę. — Nie ja będę prezesem, ale... wasz hrabia.

— Pan hrabia? — podjęło kilka głosów ze zdumieniem.

— Ktoby przypuścił, że nie książę pan? — dziwił się osobno akcyznik.

— A to mi prosto kamień spadł z serca! — zawołał nagle p. Ciapkowski. Wszyscy odwrócili oczy od księcia, aby je utopić w jego czerwonej, jowialnej twarzy. A on wyjaśnił:

— Moja żona nie dawała mi odetchnąć. Mało że dwadzieścia razy powtórzyła: „Gadajże z księciem”. I teraz to już mnie przez gwałt wypchnęła. A tu książę nic zrobić nie może.

— Książę może zrobić, co zechce — przerwał mu aptekarz.

— Nie może, czy nie chce — jedna racya, dosyć, że nie robi — prowadził dalej rzecz swoją Ciapkowski. — Jejmość chciała mnie forować na derektora. Jaki ja tam derektor. I ktoby mnie słuchał? Mnie słuchają tylko parobki, w ostatnich czasach — ekonomy. A z innymi, z kolejowymi ludźmi, jaby i gadać nie umiał.

— Panie Ciapkowski, pan mi się bardzo podobasz — oświadczył nagle książę, klepiąc go po ramieniu.

— Nie wiem z czego. Ja prosty człowiek... Jejmość uczy mnie i uczy manier. A człowiek w pracy... Gdzieby się tam nauczyć takiej koronkowej roboty.

— Pan mi się coraz więcej podobasz — oznajmił książę, klepiąc go znowu po ramieniu — a właśnie chciałem pana zapytać, kiedy i gdzie ja miałem przyjemność znać pańską żonę?

Pan Ciapkowski nagle się zmieszał.

— Tego powiedzieć mi nie wolno — zwłaszcza przy świadkach — dodał, spoglądając na obecnych. Książę grył uśmiech pod wąsem.

— Ci panowie gotowi Bóg wie co pomyśleć... — nadmienił.

— Et, żadna tajemnica, i na mój rozum nie robiłbym sekretu, ale jejmość tak chce, a wiadomo księciu panu, jak kobieta czego chce...

— Nie będziemy zawadzać — rzekł dyskretnie aptekarz i wysunął się, a za nim trzej inni petenci, wszyscy z postanowieniem obrobienia hrabiego. Przynajmniej wiadomo było, jak do niego trafić: byle kłaniać się, pochlebiać... A za mało dotychczas zwracało się na niego uwagi... Wszystkim przewrócił w głowach ten książę... Trzeba to naprawić.

Podczas gdy notable dubowscy naprawiali, jak który umiał, to uchybienie, książę pytał pana Ciapkowskiego:

— I cóż to za skandal?

— Et, jaki tam skandal! Powiem jaśnie panu w kądęcy — to... głupota mojej jejmości. Bo wielkie rzeczy, że jej matka była przy dzieciach stryjenki jaśnie pana, jako Francuzka.

— Dlatego pańska żona tak pięknie po francusku się wysławia.

— A dlatego! Gdyby jaśnie... gdyby książę pan wiedział, jak mnie ta francuszczyzna oczorciała...

Chciał splunąć, ale się opamiętał.

— Nie rozumiem tylko, czemu pańska żona wstydy się matki Francuzki? — dziwił się książę.

— E! ba! Gdybyż to tylko Francuzka, ale ona wyszła za ekonoma Ząbka — wcale nie Ząbkowicza, jak powiada jejmość. Służył na folwarku księcia stryja, dorobił się, wziął posesyę w innych stronach.

— Że też go sobie nie przypominam!

— Bo to było dawno: kiedy książę pan uczył się gdzieś tam daleko. I nie tak często zaglądał do księcia stryja, do Gródka... Ja księciu panu lepiej powiem...

Pan Ciapkowski zniżył głos do zupełnego szeptu:

— Ona — niby Salusia — nie widziała nigdy księcia pana na oczy... Ona tylko z opowiadań. Nieboszczka jej matka — świeć, Panie, nad jej duszą, nigdy nie mogłem zrozumieć jej szwargotu — nauczyła się trochę po polsku, ale co to było za gadanie — kurom na śmiech... Cóż to chciałem

powiedzieć? Aha! nieboszczka nauczyła moją manier i *parle-fran-se*—co prawda, to prawda—ale nieraz stoi to człowiekowi kością w gardle... Ona chce koniecznie, żebym i ja na siebie ton napuszczzał, bo powiada: „bez tonów, ludzie nie mają człowieka za psi pazur...”

Ciekawość była napięta w salonie, jak struna na basetli. Wiedzano już, że pan Ciapkowski dowiaduje się od księcia jakichś... strasznych tajemnic z przeszłości swojej żony.

Aptekarz, pod sekretem, powiedział pani Imbryckiej, że pani Ciapkowska miała „straszny romans” z księciem—i to przed ślubem. Pani Imbrycka zwierzyła się, pod największym sekretem, pani akcyźnikowej, że książę miał z panią Ciapkowską—troje dzieci i że teraz przyznał się do tego jej mężowi.

Gdy książę i pan Ciapkowski, po kwadransie, ukazali się we drzwiach saloniku, zrobiła się w nim taka cisza, że wszyscy mogli słyszeć, jak książę do podbiegającej pani Ciapkowskiej powiedział:

— Pani ma rozumnego męża.  
— Rozumnego?—zdziwiła się.  
— Bardzo rozumnego — potwierdził z naciśkiem.

— ...To się nazywa rozumny, że patrzy przez szpary i adoptuje książęce dzieci! — oburzył się pan Imbrycki.

Mimo, że wszyscy wtajemniczeni, a więc wszyscy obecni, oprócz księcia i obojga państwa Ciapkowskich, oburzali się na takie „lokajstwo”, dodało to jeszcze w opinii ogólnej „dobrego tonu” dzierzawczyni Cielętnika, a choć każdy na boku zobowiązywał się „nie podawać ręki ani jej ani jemu”, wszyscy zwracali się do niej z większym daleko szacunkiem, bo mieć dzieci z księciem, to nie każda potrafi... A tych dzieci było aż troje.

Nareszcie roztworzyły się na oścież drzwi od jadalni, a służący pani Ciapkowskiej, chcąc pokazać, że służywał w pańskich domach, stanął we drzwiach i wielkim głosem „zawołał:

— Proszę państwa do stołu!  
— Może książę pan raczy poprowadzić panią hrabinę—prosił, podbiegając do niego aptekarz.

Książę nie miał bynajmniej tego zamiaru.  
— Umówiliśmy się z młodem towarzystwem, że będziemy jedli tutaj, przy osobnym stoliku—oznajmił.

Ten projekt spadł na panią Kociubską, jak grom z jasnego już nieba... Wszystko nareszcie było gotowe—indyk i lody, a tu znowu!...

— Może książę pan choć na chwilę usiądzie do dużego stołu, na swoim miejscu, pomiędzy panią hrabiną a panem hrabią. Tymczasem tutaj nakryją—prosiła.

— Niech nakrywają—to mi nie przeszkadza.

— Ale nie wypada! — protestowała aptekarzowa.

— Nie wypada? Doprawdy? To może choć raz zrobimy coś... co nie wypada. Tego jeszcze Dubowa ani Brzuszkowice nie widziały...

— Widzisz, jak książę zajął się Natałką! A nie mówiłem?—szepnęła hrabia do żony.

Posadzono ich obok siebie przy stole, jak na srebrnym weselu, a w saloniku zawrzało od nowych przygotowań.

Służąca Horpyna, przy pomocy posługacza z apteki, wniosła dwa stoły—jeden od kart, drugi większy, bejcowany. Pani Ciapkowska była w swoim żywiole: objęła komendę, nie wahała się też i sama ręki przyłożyć. Na stole od kart, który już nakryto obrusem, postawiła wazon ze

sztucznymi kwiatami, zdobiący zwykle kominek, z serwantki wyjęła płukanę.

Książę wziął pod rękę pannę Natalię i poprowadził do stolika.

— Pani może tutaj—rzekł, wskazując jej miejsce—ja przy pani z jednej strony, z drugiej zechce może pan Horodecki. Narzeczona po mojej drugiej ręce, narzeczony—obok.

Pani Ciapkowskiej wydłużyła się twarz, jak gdyby jej przybył jeszcze jeden podbródek.

Książę nalał balsamu na jej ranę.

— Musimy się podzielić opieką—rzekł.—Ja rozpościeram skrzydła przy tym stole. Przy tym—pani.

— Tam niema par zakochanych.

— Może będą, zanim się kolacya skończy—zagrzął jej ambicyę.

— Postaram się — rzekła już udobruchana i poszła spełniać swoją misję.

Jednej parze zakochanych stała się krzywda. Pani Bryńska zabrała Zosię do dużego stołu, aby „ją mieć na oku”. Wprowadzie usiadł przy nim pan Tadeusz, lecz zasłaniał ich olbrzymi bukiet z kwiatów włóczkowych. Akcyźnikowa, pożyczając go aptekarzowej dla ozdoby stołu, nie domyślała się, że dwoje ludzi przeklinać go będzie.

Przy stoliku księcia panował gwar.

— Wszyscy mężczyźni zuchwali—dowodziła Hela swemu narzeczonemu.

— Już się pani o tem przekonała?—wtrącił książę, który miał słuch bardzo czujny.

Z drugiej strony dolatywały go takie urywki rozmowy:

— Dzięki Bogu, że zajął się kim innym—szeptał z wściekłością pan Witold.—Nie odrywa oczu od ciebie. I ja muszę na to patrzeć.

— Niewdzięczniku! Gdyby nie książę... Prawda, nie mogę powiedzieć...

— Macie już sekrety?

— Mamy.

— Pewno się o ciebie oświadczył?

— Możesz być spokojny. Onby to uważał za megalians.

— Jest przecież popularny—demokrata.

— A dumniejszy... nawet od papy.

Książę uśmiechnął się cierpko i, zwrócony do Heli, mówił:

— Może jeszcze parę słów o zuchwalstwie mężczyzn... Pani ich nienawidzi.

— Naturalnie, jestem członkiem równouprawnienia kobiet.

— Aa! rozumiem. Wytrułybyście nas wszystkich. A potem co? Trzebaby wskrzesić!

— Także! Obejdzie się cygańskie wesele bez marcepanów.

— Więc mężczyźni—to marcepany!

— Proszę mnie za słówka nie łapać, bo ja się nie szlifowałam po salonach i mam do salonów wstręt.

— Czy ten wstręt przenosi pani i na moją osobę?—pytał, nachylając głowę. Spojrzał na nią z widoczną przyjemnością i zadeklamował szepem:—„Gdybym był młodszy, dziewczyno!”

— Choćby nawet młodszy—zawsze książę.

— Gotów jestem zdjąć mitrę w chwili... odpowiedniej... Zresztą i bez tego pani zapomina, że jestem księciem...

— Mam może sadzić tytułami, jak tamci? Mam może prosić o posadę na tej nowej kolei?

— Wolalbym, żeby pani mnie poprosiła o coś lepszego.

— A ja o nic nie poproszę, choć mi ta moja kolej nadwiślańska już kością w gardle stanęła. Ale mam swoją dumę.

— Szkoda!

— Wielkim panom się zdaje, że o ni tylko

mogą siedzieć na swojej godności. Nam i tego nie wolno.

— Wie pani, co mi się zdaje? Że pani nie jest taka nielitościwa, jak się pani chce okazać, że moglibyśmy dojść do porozumienia...

— Niby jakiego?

— Może książę pan piersi pozwoli?—przerwała pani Kociubska, własnoręcznie podając półmisek.

— I owszem—odpowiedział książę, mrugając na Helę.

Mimo coraz żywszej z nią rozmowy, słyszał, jak pan Horodecki szeptał do hrabianki:

— Ja już dłużej nie wytrzymam w tej męce. Dadzą—dobrze. Nie dadzą—wykradnę.

— A może ja wykraść się nie dam.

— Jeżeli kochasz, to uciekniesz dobrowolnie od tego księcia, od całej tej próżności, pychy.

— Wszak wiesz, że jestem inna, że mnie to boli—upewniała go panna Natalia.

— Ja przecież ładna nie jestem—odpowiadała księciu Hela.

— A ja—jaki?—pytał.

Narzeczony, siedzący po drugiej stronie Heli, podnosząc się nawpół, rzekł do niej:

— Może się przesiąść, żeby państwu nie zawadzać?

— Może pan zostać — odpowiedziała mu chłodno, a do drugiego sąsiada szepnęła:

— O księcia wszyscy chłopcy są zazdrośni.

— Czy słusznie?—dowadywał się.

W ten miły sposób gwarzono dalej w saloniku państwa Kociubskich, który nigdy jeszcze tak dostojnych gości nie widział.

## ROZDZIAŁ VI.

Przez następne trzy tygodnie w pałacu brzuszkowickim, w Cielętniku i w Dubowej życie było jednym wspomnieniem pobytu księcia. A to niedalekie jeszcze wspomnienie wkraczało już w dziedzinę legendy. Zanim opowieść o wspańnięciu przyjęciu doszła do ust tych upośledzonych, którzy nie okazali się godni zaprosin, indyk zamienił się w bażanta, a książę niemal w Lohengrina. Lecz i ci nawet, którzy mieli szczęście być w gronie gości, już po tygodniu byli pewni, że oko ludzkie nie widziało, a ucho nie słyszało o takiej zabawie, o takiej „szarmanterii”. Serce księcia musiało być jeszcze rozciągliwsze, niż głosiła opinia publiczna, a jego osoba co najmniej troista, gdyż pani akcyźnikowa „bożyła” się na wszystkie świętości, że książę był jak przyklejony do Myni; siostra księdza dowodziła, że nie ruszył się od jej Kici, zaś aptekarzowa opowiadała na prawo i lewo, że jak „przystał do Heli, tak ani obcęgami go oderwać”.

Pani Ciapkowska naprzód przez dwa dni patrzyła na męża z szacunkiem, jak na człowieka, o którym sam książę mówił, że jest rozumny; trzeciego dnia zaczęła wypytывать Waleryana, co on takiego rozumnego księcia powiedział, czwartego dowiadywała się, czy książę obiecał mu posadę dyrektora kolei. Na wieść, że to zależy od hrabiego, wpadła w pasję, nawymyślała mu zaocznie od pyszałków i dorobkiewiczów, a mężowi w oczy od osłów dardanelskich.

— I pomyśleć—wołała z rozpaczą—że ja mogłam wyjść za księcia, a wyszłam za takiego durnia!

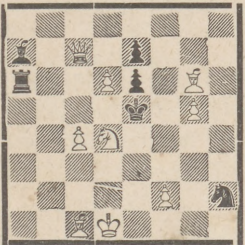
Ten żal przywarł do jej duszy, jak plaster do rany. Oddzierała go kawałkami, zwierając się z niego przed każdym, kto chciał ją słuchać—a chcieli wszyscy. Stąd urosła legenda, że Ciapkowsky rozwodzą się, bo „stary nie taki głupi i dzieci żony, spłodzonych z księciem, a jest ich aż pięcioro, na próg domu puszczać nie chce”.

# Rozrywki umysłowe.

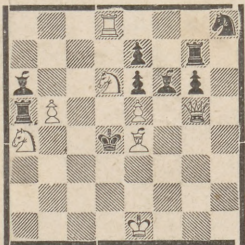
## SZACHY.

12 Zadań, nagrodzonych na tegorocznym konkursie Budapeszteńskiego klubu szachowego w sekcji problematów na dwa posunięcia.

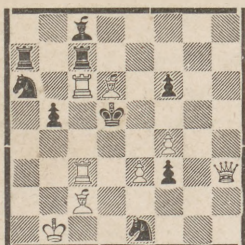
283. K. Erlina z Wiednia.  
(I nagr.).



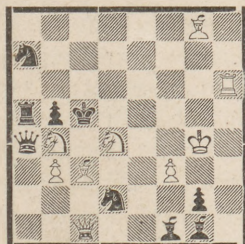
286. K. Erlina.  
(III nagr. a).



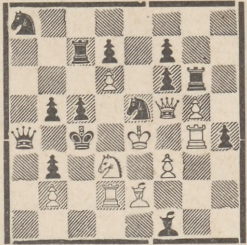
289. D-ra A. Simay-Molnara z Budapesztu.  
(III nagr. d).



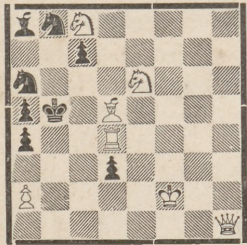
292. M. de Moraes Fihlo z Rio de Janeiro.  
(IV nagr. c).



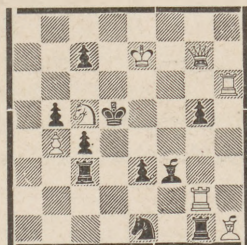
284. L. B. Salkinda z Moskwy.  
(II nagr. a).



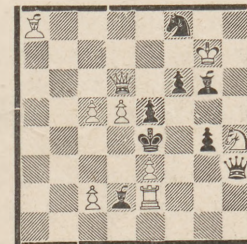
287. Th. C. Henriksena z Frederiksstadu.  
(III nagr. b).



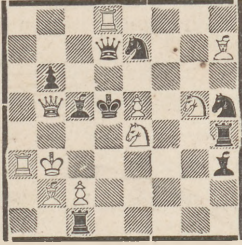
290. R. Leopolda z Bautzen.  
(IV nagr. a).



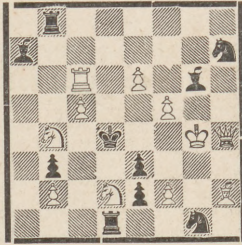
293. L. A. Kuijersa z Amsterdamu.  
(Nagr. „za piękność“).



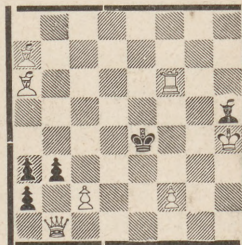
285. D-ra E. Palkoska z Pragi.  
(II nagr. b).



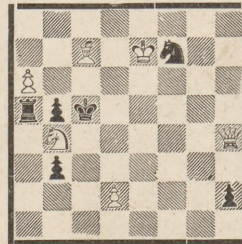
288. E. Simona z Budapesztu.  
(III nagr. c).



291. R. Kintziga z Gyorku.  
(IV nagr. b).



294. Th. C. Henriksena.  
(Nagr. „za piękność“).



### Wiadomości.

Do udziału w międzynarodowym turnieju pierwszorzędnych mistrzów, który ma się odbyć w **New-Yorku** i **Hawannie** w Grudniu r. b., zostali zaproszeni: Lasker, Rubinstein, Maroczy, Tarrasch, Schlechter, Spielmann, Teichmann, Niemcowicz, Bernstein, Marshall, Vidmar, Duras, Capablanca, Mises, Burn, Janowski, Leonhardt. Z wyjątkiem Vidmara i Niemcowicza, wszyscy wymienieni mistrze bywali w ostatnich latach dwudziestu zdobywcami pierwszych nagród na wielkich turniejach międzynarodowych.

□□

### Informacje.

Na 16-ty konkurs zadań w dwóch posunięciach gazety *Western Daily Mercury* należy posyłać zadania na diagramach pod godłem, najwyżej trzy od jednego autora. Adres: *W. Mears, Ridgewayroad, Torquay, England.* Termin upływa 1 października r. b. Sędziowie: Würzburg, Palkoska i Laws.

□□

### ROZWIĄZANIE ZADAŃ z № 35 i 36.

№ 277. 1. Dh2—g1 W×D 2. Se4—f6†; 1. ... W×f3 2. D×g2; 1. ... W×b8 2. Sf6†; 1. ... ♞ 2. c4†. № 278. 1. Dd6—b4. № 279. 1. We4—d4. № 280. 1. Dd3—f5! 1. ... Wb2 2. Sc3†; 1. ... c6 lub a4. 2. Df5—f4; 1. ... h5 2. Df5—g5. № 281. 1. c2—c4. № 282. 1. Dc2—c5.

□□

### ZADANIA I ZAGADKI.

KONKURSOWE.

#### SZARADA.

Cóż pan tak na mnie *pierwszą* czwartą?  
Ze *pierwszą* drugą się zważyła?  
To ma rybacka mania miła,

**PIJ CIE ŻŁOTE PIWO DROZDOWSKIE.**

DERENIÓWKA



F. JANKOWSKIEGO.

**L. GRABOWSKI**  
MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

W KRAKOWIE, Plac Maryacki 9.

Zamilowanie me nic warte.  
Toczy się *druga* *wspak* *wprost* *czwarta*.  
*Drugiego* *czwartego* widzę... stawie.  
Na *trzeci* dąży... Ku zabawie  
Biegnę zziąpany nakształt charta.  
Pomściła się złych losów siła  
I spadła na mnie *czwarta* *druga*:  
Ma *cała* wnet się utopila,  
Zabrała ją głęboka struga!

□□

#### KWADRAT MAGICZNY.

Z szesnastu głosek ułożyć kwadrat po 4 głoski w każdym z 4-ch wierszy, przyczem wyraz, jaki wypadnie w wierszu pierwszym, ma się powtórzyć w tymże porządku przy czytaniu pierwszych głosek od góry do dołu, ze strony lewej. Głoski ostatnie z dołu do góry i wiersz dolny od strony prawej ku lewej dadzą tenże sam wyraz. Nadto, w wierszu drugim znajduje się wyraz, oznaczający postać miłości, w wierszu 3-cim—nazwę miasta, w wierszu czwartym—brzmienie bez znaczenia. To samo wypadnie przy czytaniu wszystkich wierszy z góry do dołu, lub z dołu do góry. Głoski: a, a, a, a, a, a, p, p, m, m, o, o, r, r, r, r. Za rozwiązanie 25 kresek.

□□

ROZWIĄZANIA ZADAŃ z № 36.  
SZARADY-LAMIGŁÓWKI: Kalarepa.

#### DROBIAZGI NAUKOWE.

##### DROBNE UŁATWIENIA

##### W GOSPODARSTWIE.

##### PRASA DO SOKÓW.



Brak prasy do wyciskania soku z owoców daje się w gospodarstwie zastąpić „aparatem“, którego rysunek podajemy. Bierze się poprostu woreczek, uszyty np. ze starej serwety; do woreczka wkładamy owoce, jagody i t. p. Następnie przez próżny koniec worka przewlekamy obrączkę od serwety i—tłocznia gotowa. Przy ostrożnem władaniu „prasą“, palce naszych gospoś bynajmniej się nie poplamiają.

Czarodziej.

#### HUMOR I SATYRA.

##### OSTROŻNOŚĆ NIE ZAWADZI.

U rogatki, przy wjeździe do miasta, klóca się dwaj Żydzi woźnice:  
— Jankiel, ty jesteś osieł!  
— Josel, ty jesteś baran!  
— Pst! — wtrąca trzeci — przestańcie się przezywać. Dozorca rogatki weźmie to na seryo i pobierze od was kopytkowe.

□□

#### REBUS Nr. 92.



#### STAROŻYTNA KULTURA.

— Wiesz, podczas mego pobytu we Włoszech, w głębokości 50 metrów znaleziono w ziemi drut. To znaczy, że tam już przed tysiącami lat znano telegraf.  
— To jeszcze nic. Za mojej bytności w Palestynie kopano do głębokości 100 metrów i wcale drutu nie znaleziono.  
— Czegoż to dowodzi?  
— To dowodzi, że w Palestynie już przed wiekami, znano telegraf... bez drutu.

□□

#### ROZTARGNIENIE.

Przy stole.  
— Ależ, panie profesorze! Pan bierze pieczeń palcami?  
— Bardzo przepraszam; zdawało mi się, że to szpinak.

□□

#### CIERPLIWOŚCI.

— Lekarz zapisał mi zimne kąpiele. Biorę je już od miesiąca i do tej pory skutków nie czuję.  
— Nie bądź tak niecierpliwy; znałem damę, która po zimnej kuracji... dopiero w pół roku umarła.

□□

#### DOBRY ZNAJOMY.

— Powiedźcie panu, że tu byłem, lecz nie zastałem.  
— A jak godność pańska?  
— Nie trzeba; wasz pan dobrze mnie zna.

□□

#### HUMOR ZAGRANICZNY.



#### ZA PRZYKŁADEM BOGÓW.

— Mój mały, mógłbyś też kazać ostrzyżć włosy.  
— Przepraszam, ale w sferach artystycznych noszenie długich włosów jest przyjęte.  
— A więc poświęcasz się sztuce?  
— Właśnie; jestem zajęty w pracowni... sztucznego masła.

Nowości

**TARNOWSKI & TOMASZEWSKI**

MARSZAŁKOWSKA 133 (róg Ś-to Krzyskiej)

Magazyn **BŁAWATNY** WYKWINTNE  
oraz Skład **PŁÓTNA,** WYPRAWY  
**BIELIZNY** damskiej

Redaktor: Dr. JÓZEF WOLFF.

Zastępca redaktora: ARTUR OPPMAN (OR-OT).

Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF.